

Janusz Głowacki
(1938-2017)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXII Nr 9(253) Żelów, wrzesień 2017

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Christiana Medarda Manteuffela, Elizy Segiet, Joanny Wicherkiewicz, Ireny Zielińskiej,

Andrzej Dębowski – *Franku Dolasie, miej się na baczości...*

Leszek Żuliński – *Pragnąc i kochać*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Wirująca rzeczywistość poetki*

Stefan Jurkowski – *Półwiecze i rżnięcie*

Andrzej Bartyński – *Co znaczy „Wir sind”*

Kazimierz Ivosse – *Anegdoty literackie prosto z kuchni*

Joanna Friedrich – *Goście, Goście*

Anna Dominiak – *Tańcząca z Ziemią.*

O „Szamance” Justyny Koronkiewicz

Dariusz Pawlicki – *Krótki, nieco liryczny traktat o wietrze*

Rafał Sulikowski – *Niekończące się czytanie... (1)*

Ilona Warpas – *Stanisław Przybyszewski jako twórca kryminału*

Mirosław Osowski – *Ryszarda Mścisza „Czytanie nieobojętne”*

Irena Kaczmarczyk – *Poezja w podróżach Waldemara Hładkiego*

Tadeusz Stolarski – *Istnienie człowieka w XXI wieku według profesor Marii Szyszkowskiej*

Informacje, Wydarzenia, Imprezy

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Kronika

Witryna, Zapowiedzi



Z cyklu: Pejzaże polskie

Foto: Andrzej Dębowski

Konkursy

Tylko jedno zdjęcie

Organizatorem konkursu fotograficznego jest Miejski Ośrodek Kultury w Jarosławiu.

Konkurs ma charakter otwarty.

Każdy uczestnik może przysłać na konkurs tylko jedno zdjęcie. Tematyka dowolna. Prace należy przysłać za pośrednictwem [strony konkursu](#).

Wpisowe wynosi 30 zł.

Przewidziane są następujące nagrody:

- ✓ nagrody pieniężne,
- ✓ złoty, srebrny i brązowy medal FIAP,
- ✓ wyróżnienia honorowe FIAP,
- ✓ nagroda „Best Autor” FIAP,
- ✓ złoty, srebrny i brązowy medal Stowarzyszenia Fotoklubu RP,
- ✓ złoty, srebrny i brązowy medal oraz wstążki honorowe International Association of Art Photographers IAAP,
- ✓ nagrody sponsorów.

Termin przyjmowania zgłoszeń mija 18 września 2017 roku. Strona konkursu: www.tylkojednozdjecie.pl/



X INTERNATIONAL SALON OF PHOTOGRAPHY
TYLKO JEDNO ZDJĘCIE 2017
JUST ONE PHOTO



Konkurs Literacki na tom prozy (opowiadania, nowele, powieść) im. Eugeniusza Pauksty

Zarząd Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu ogłasza konkurs adresowany do wszystkich twórców zrzeszonych i niezrzeszonych.

Celem konkursu jest pozyskanie wartościowych książek o tematyce społeczno-obyczajowej w okresie zachodzących przemian politycznych i gospodarczych w kraju.

Każdy uczestnik może przysłać jedną pracę. Prace nigdzie dotąd niepublikowane – opowiadania, nowela, esej – maksymalnie do 30 stron formatu A4 w 3 egzemplarzach, także nagrane na nośniku CD, opatrzone godłem należy przysłać do dnia **30 września**

2017 roku na adres: **Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, ul. Piekary 17 pok. 907, 61-823 Poznań.**

W zaklejonej kopercie, oznaczonej godłem, należy dołączyć swoje dane osobowe, adres zamieszkania oraz numer telefonu. Wymagane jest też oświadczenie dotyczące wyrażenia zgody na przetwarzanie danych osobowych.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród nastąpi 7 listopada 2017 roku w Sali Lubrańskiego UAM w Poznaniu, podczas 40. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Nagrodą główną będzie pamiątkowa statuetka oraz nagrody pieniężne dla zwycięzcy i wyróżnionych. Wyróżnione prace zostaną wydane w formie książkowej w terminie do końca października 2018, z promocją podczas 41. Listopada Poetyckiego w 2018 roku.

Blizsze informacje można uzyskać pod numerem telefonu: 795 405 688.

Najciekawsza książka poetycka roku 2017 40. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego

Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu zaprasza autorów, wydawnictwa, stowarzyszenia do nadsyłania książek poetyckich, godnych tytułu i nagrody – Najciekawsza Książka Poetycka Roku 2017 – 40. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu.

Laureata poznamy podczas uroczystej inauguracji 40. MLP w Sali Lubrańskiego UAM w Poznaniu (ul. Wieniawskiego 1), 7 listopada 2017 roku.

Tomy poezji, wydane w języku polskim w roku 2017, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach, do 30 września br. Wybory wierszy nie będą brane pod uwagę.

Wewnątrz dużej koperty z 3 egzemplarzami książki prosimy zamieścić małą kopertę zawierającą adres domowy, e-mail lub numer telefonu.

Adres Organizatora: **Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, ul. Piekary 17, pok. 907, 61-823 Poznań.**

XI Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny „Życie jest piękne”

Organizatorem konkursu jest Kieleckie Centrum Kultury.

Konkurs ma charakter otwarty.

Organizatorzy konkursu pragną zachęcić zawodowców, amatorów jak również młodzież do fotografowania otaczającego nas świata, pięknych przestrzeni, niezwykłych ludzi, przedziwnych sytuacji, wszystko po to, aby zdjęciem uwiecznić ukryte w nich piękno. Fotografie przysyłane na konkurs mają dowodzić słuszności tezy, że Życie jest piękne.

Zdjęcia można zgłaszać w czterech ka-

tegoriach tematycznych: Moda, Natura, Miasto, Kulinaria.

Wymagany jest kadr pionowy (proporcje boków 3:4, długość krótszego boku minimum 2250 pikseli).

Zdjęcia nie mogą być wcześniej publikowane w magazynach z numerem ISSN lub ISBN.

Jury przyzna 12 równorzędnych nagród pieniężnych po 1.000 zł.

Termin przyjmowania zgłoszeń upływa 30 września 2017 roku.

Strona konkursu: zjp.kck.com.pl/



XIV Konkurs Graficzny im. Józefa Gielniaka

Organizatorem konkursu jest Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze. Współorganizatorami są Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu oraz Wydział Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku.

W konkursie mogą wziąć udział profesjonalni artyści z Polski i zagranicy.

Przedmiotem konkursu są prace graficzne wykonane w technice druku wypukłego, szczególnie linorytu i drzeworytu.

Każdy artysta może zgłosić maksymalnie dwie prace wykonane na podłożu papierowym. Maksymalne wymiary podłoża: 100 x 70 cm.

Przyjmowane będą prace, które powstały nie wcześniej niż w 2015 roku i nie były zgłaszane do innych konkursów.

Udział w konkursie jest płatny. Opłata dla artystów z Polski wynosi 100 zł, dla artystów zagranicznych 30 euro.

Jury złożone z artystów oraz krytyków sztuki wyłoni laureatów oraz zakwalifikuje prace na wystawę pokonkursową. Przewidziane są następujące nagrody i wyróżnienia:

- ✓ Grand Prix,
- ✓ trzy nagrody równorzędne,
- ✓ pięć wyróżnień.

Termin przyjmowania zgłoszeń mija 10 listopada 2017 roku.

Strona konkursu:

www.muzeumkarkonoskie.pl/index.php?page=xiv-konkurs-graficzny-im-jozefa-gielniak

Dariusz Pawlicki

Krótki, nieco liryczny traktat o wietrze

Siedzę w pokoju na poddaszu i słucham wycia wiatru. Wieje prosto w okno wychodzące na południe.

Nim kwadrans temu położyłem dłoń na kłamce u drzwi wejściowych, patrzyłem długo na pobliski las; wyglądał wręcz groźnie. A to za sprawą świerków i sosen, których wierzchołki poruszały się na tle ciemniejącego nieba. Słyszałem ich głośny szum będący zwiastunem opadu śniegu bądź deszczu. Ze względu na panującą temperaturę, w grę wchodził wyłącznie ten pierwszy.

Przebywaniu w lesie, gdy wieje silny wiatr, towarzyszą wyjątkowe wrażenia. Przy tym im on jest silniejszy, tym one – odpowiednio intensywniejsze. Ale jeśli o nie chodzi, należy raczej mówić o wysuwającym się na plan pierwszy niepokoju przechodzącym, wolniej bądź szybciej, wręcz w strach.

Byłem kiedyś w lesie, gdy dosyć niespodziewanie zerwał się wiatr. Miało to miejsce późną jesienią. Gdy zaczęło wiać, a wiało coraz mocniej, do przejścia miałem jeszcze około 5 kilometrów do skraju lasu. Dobrze, że drogę, która pozostała do przejścia, dobrze znałem. Obserwowanie poruszających się gwałtownie koron drzew i równoczesne wypatrywanie właściwej drogi pośród duków, jeszcze powiększałoby bowiem uczucie dyskomfortu.

Raz po raz, poprzez głośny szum, dobiegał do mych uszu wyraźny trzask łamanych gałęzi i konarów. Byłem, wręcz przygotowany na to, że w jakimś momencie zwali się na mnie pień złamanej sosny bądź wyrwanego z korzeniami świerka. Nic takiego, na szczęście, jednak nie nastąpiło. Ale droga przez jesienny las, przed kilkunastu laty, utkwiała w mej pamięci.

Słownik języka polskiego pojęcie wiatru definiuje następująco: *Poziomy ruch powietrza powstający wskutek nierównomiernego rozkładu ciśnienia atmosferycznego na powierzchni Ziemi.**

Tyle, w bardzo dużym, ale rzeczowym skrócie, na ten temat ma do powiedzenia nauka. Tak więc według niej wiatr jest czymś jak najbardziej prozaicznym, żeby nie powiedzieć: banalnym. Natomiast w czasach nie tak znówu odległych, w zjawisku wiania widziano przejaw działania boskiego. A mówiąc dokładnie – jednego bądź kilku bogów spośród ich, mniej bądź bardziej licznych, grona kojarzonego z jakąś religią czy systemem wierzeń. I tak, dla przykładu, u

Greków starożytnych był nim Eol (początkowo – jednak demon wiatru. To w znacznej mierze za sprawą poetów zaczęto uważać go za boga); u Germanów za wiatry, ale nie tylko za nie, odpowiadał Odyn (zresztą najważniejszy spośród bogów germańskich); u Słowian bogiem wiatru był Stribog (Słowianie Wschodni uważali, że odpowiada także za burzę). Natomiast aztecki bóg Ehecatl (przejaw Quetzalcoatl) poza tym, że władał wiatrami jako takimi, to jeszcze dmuchając na Księżyc i Słońce sprawiał, że znajdowały się one w ruchu.

Bogów wiatru, to znaczy „powietrza w ruchu”, cechuje na ogół zmienne usposobienie, są przy tym drażliwi. Nie obca im jest zazdrość, mściwość, bywają też okrutni. Czego przykładem może być grecki Zefir, bóg wiatru zachodniego. Otóż urażony do żywego odrzuceniem swoich zalotów przez Hiacynta, pięknego młodzieńca, spowodował jego śmierć. Sprawił bowiem (podmuchał), że dysk rzucony przez Apollina, którego Hiacynt był ulubieńcem, zmienił tor i uderzył młodziana w głowę.

Władcy (bogowie) wiatrów odgrywali ważną, a nawet bardzo ważną rolę. Co wynikało z tego, że jeszcze dwa i pół wieku temu, wiatr był czymś niezmiernie ważnym (może tak ważnym, jak współcześnie energia elektryczna i jądrowa, ropa naftowa, gaz, węgiel kamienny, razem wzięte). Widać to zwłaszcza na przykładzie żeglugi: statki i okręty były bowiem żaglowe, co najwyżej żaglowowiosłowe. O roli tej mówią, między innymi, mity, jak też utwory literackie. A zarówno te pierwsze, jak i drugie, jakby nie było, są przejawem ówczesnych wyobrażeń, przemysła, wiedzy ludzi. Przykładem tego, to znaczy roli bogów, jak i samych wiatrów, jest wspomniany Eol (Ajolos). Będąc władcą Wysp Eolskich (obecnie Wyspy Liparyjskie) gościł u siebie Odysa i jego towarzyszy. Przy pożegnaniu wręczył bohaterowi spod Troi worek, w którym uwięzione były wszystkie wiatry, które mogłyby przeszkodzić w jego powrocie do Itaki. Jednak gdy okręt znajdował się już u brzegów rodzinnej wyspy Zeglarzy, a Odys spał, jego towarzysze, przekonani, że otrzymał on od Eola jakiś skarb, zajrzeli do worka. Uwolnione w ten sposób wiatry sprawiły, że okręt został przygnany z powrotem do Wysp Eolskich. Lecz ich władca nie obdarzył Odysa po raz drugi niezwykłym prezentem (wręcz przeciwnie – nakazał natychmiastowe opuszczenie swych włości). Dlatego musiał jeszcze błąkać się przez kilka lat po morzu, nim ujrzał Penelopę.

A jeśli mowa o żegludzie i żeglarzach sta-

rożytnych, to aby zapewnić sobie bezpieczną podróż, składali ofiary bogom. I tak, zebrane w Aulidzie (Aulisie) nad zatoką Euripos wojska greckie oczekiwały pomyślnych wiatrów, aby wsiąść na okręty i wyruszyć ku Troi. Czas oczekiwania przedłużał się coraz bardziej. W końcu okazało się, że za przymusowy postój odpowiada Artemida, bogini lasów i zwierząt. A wiatry przeciwne dopóty miały wiać, dopóki Agamemnon, wódz zjednoczonej armii greckiej, nie złoży w ofierze swej... córki Ifigenii. Artemidę rozgniewało bowiem to, że ów śmiertelnik, cóż z tego, że król, zabił jej ulubioną łanię. Do tego chciał się jeszcze, że jest lepszym myśliwym niż ona, bogini sprawująca także pieczę nad łowami.



Ifigenia, fresk pompejański z I w. n.e.

Artemida okazała się być jednak bardziej litościwa od Agamemnona, który gotów był poświęcić córkę. Sprawiała bowiem, że Ifigenia zniknęła z ołtarza, dosłownie spod noża kapłana-ofiarnika. Równocześnie niekorzystne wiatry przestały wiać i wielka flota grecka pożeglowała ku Ilionowi.

Wiatr, to znaczy „poziomy ruch powietrza”, miał wielokrotnie wpływ na historię. Tak jak, przykładowo, w V wieku p.n.e. I to nie raz. Otóż w 492 roku połowa okrętów tworzących flotę wysłaną przez króla perskiego Dariusza I na podbój Grecji, została zatopiona przez sztorm u przylądka Athos. Spowodował go czczony przez Greków Boreasz, władca wiatru północnego (odtąd Grecy mieli go jeszcze w większym poważaniu). Ambitny plan zakończył się więc niepowo-

Dokończenie na stronie 4)

Krótki, nieco liryczny traktat o wietrze

(Dokończenie ze strony 3)

dzeniem za sprawą porywistego i bardzo silnego wiatru będącego sprawcą powstawania wysokich fal. Kserkses, syn i następca Dariusza, miał te same ekspansywne zamiary wobec Grecji. Tym razem wielka armia perska miała dotrzeć na półwysep Bałkański po dwóch mostach spinających brzegi Hellespontu. Do ich skonstruowania (480 rok) wykorzystano okręty. Uczyniono to jednak nazbyt pośpiesznie – bez należytej staranności. Wkrótce sztorm rozczłonkował obie konstrukcje. Rozłuszczony tym faktem Król Królów, jak tytułowali się władcy Persji, nakazał wychłostać trzystoma uderzeniami żelaznych łańcuchów wody Hellespontu, aby zmusić je do pokory. Nakazał też zatopić w nich parę kajdan. Następnie, według projektu inżyniera greckiego Harpalosa, przystąpiono do budowy kolejnych dwóch mostów. Tym razem zakotwiczone okręty stały zwrócone do siebie burtami. Połączono je grubymi linami, na których ułożono deski. Na nich zaś położono gałęzie, które zostały przysypane ziemią. Siły perskie były tak wielkie, że mimo sprawnego przebiegu przemarszu, dotarcie na brzeg europejski zajęło im siedem dni i nocy.

Batożenie odniosło zamierzony cel (to, że wojna zakończyła się zwycięstwem Greków, to już inna sprawa). I to pomimo tego, że chłostano wodę, a nie powietrze. A przecież, o czym była już mowa, przyczyną powstawania sztormów jest właśnie wiatr.

Z racji podobieństwa do oddechu bądź tchnienia mającego moc ożywczą, wiatr uważano za pierwszy żywioł. Rola wiatru wynikała też z powszechnej wiary, że jest on, między innymi, dającym życie tchnieniem bóstwa (bogów) Boga. Tak jak zostało to, chociażby, opisane w Księdze Genesis (2,7) następującymi słowami:

Pan tchnął w oblicze pierwszego człowieka duch żywota – i stał się człowiek istotą żywą.

Na temat niezwykle istotnego znaczenia wiatru (żadna definicja naukowa bądź popularnonaukowa tej ważności nawet nie sugeruje) Juan Eduardo Cirlot pisze tak:

*W skrajnej postaci najaktywniejszy wiatr rodzi huragan, syntezę i związek Czterech żywiołów, któremu przypisuje się moc zapładniającą i odnawiającą życie.***

A Małgorzata Sacha-Piekło na temat wiatru wypowiada się i tak:

Wiatr, wiecznie ruchliwy i trudny do uchwycenia żywioł, kojarzy się z poczuciem zmienności, niepokoju i niedosytu, niemożności zaspokojenia ciągłe nowych pragnień.

Goethe, ustami podstarzałego Fausta (*Faust, II cz., V akt*), z goryczą oświadcza:

*«Biegłem jak biegnie wiatr po świecie. Do każdej chętki byłem prędkim... Tylko pożądam, żądzę zaspokoję i znów pożądam...»****

Nie dziwi chyba nazbyt, że wiatr symbolizuje, wręcz uosabia, gwałtowność, porywczoność, ruch, szybkość, przestrzeń, niestałość, zmienność. Ale jest on także symbolem czasu, nicości, pustki, przemijania, niepokoju, aktywności, zniszczenia, zamieszania, odrodzenia; (...), głosu bożego, potęgi bóstwa, pośrednika pomiędzy niebem a ziemią, posłańca bogów; łaski, grzechu, gniewu bóstwa, niebezpieczeństwa, kary bożej; życia ludzkiego, duszy, ducha twórczego, sił żywotnych, namiętności ludzkich, szaleństwa, wojny, porywczoności; męskości, chuci, płodności; cierpienia; pieśni; ekstazy; wolności, natchnienia poetyckiego i wróżebnego, (nie)pomyślnej żeglugi, traktu (gościńca); daremności, nietrwalości; roznoszenia plotek, próżności, niewdzięczności, kaprysu.****

Natomiast bezwietrzność bywa symbolem przemijania, braku nadziei, końca czegoś, na przykład życia. Brak wiatru może być zobrazowany alegorycznie. Jeśli chodzi o sztuki plastyczne, poprzez, chociażby, przedstawienie żagli zwisających, nie wypełnionych wiatrem bądź zwinionych.



Caspar David Friedrich, *Fazy życia*, 1835.

Odnosząc się do użytkowej roli wiatru, oprócz wspomnianej żeglugi, należy wspomnieć o wiatrakach. A krajem najbardziej z nimi się kojarzącym, jest Holandia.

O ich roli w rozwoju tego kraju w XVII w., tak napisał Johan Huizinga:

*Holenderski dobrobyt był wspierany przez klimat, gdyż to zachodni wiatr sprawił, że Holandia stała się krajem wiatraków – wiatraków, które więcej przepompowały wody, niż zmeły zboża, i które jeszcze do niedawna stanowiły typowy element holenderskiego krajobrazu. Bez wiatraków Holandia nie miałaby ani polderów, ani też sił, by kultywować stare rzemiosła i podejmować nowe wyzwania gospodarcze.******

We wspomnianym okresie niewielkie Zjednoczone Prowincje były największą potęgą morską, jak też handlową świata. Żaden inny kraj nie miał bowiem tak licznej floty, na którą składało się kilka tysięcy, różnej wielkości i różnego typu, statków przewożących rozmaite towary do wszelkich zakątków znanego Europejczykom świata. A za wszystkimi tymi osiągnięciami, obok zalet Holendrów jako narodu, stał wiatr... Owo zjawisko, za którym współcześni ludzie nie widzą już niczego poza „poziomym ruchem powietrza powstającego wskutek nierównomiernego rozkładu ciśnienia atmosferycznego...”. Przyjemność ma się dobrze; wręcz triumfuje...



Dirck Everson Lons, *Wiatrak*, z serii *Wiatraki holenderskie*.

Odnosnie wiatru i jego związków z człowiekiem, na zakończenie przytoczę takie oto wypowiedzi:

Michela de Montaigne'a –
Wiatr jeno i dym mamy na własność.

Octavio Paza –
Jeżeli ludzie to proch, to to, co wiatr rozwiata na polach, to są ludzie.

Dariusz Pawlicki

* *Słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1981.

** J. E. Cirlot, *Słownik symboli*; Znak, Kraków 2006.

*** *Estetyka czterech żywiołów*, pod red. Krystyny Wilkoszewskiej; Universitas, Kraków 2002.

**** W. Kopaliński, *Słownik symboli*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2006.

***** J. Huizinga, *Kultura XVII-wiecznej Holandii*; Universitas, Kraków 2008.



Mniej Więcej (151)

Pragnąć
i kochać

Ten tomik (czwarty z kolei) Ireny Zielińskiej znałem już w maszynopisie. Dobrze, że się ukazał. Ta gorzowska poetka pisze od lat w swojej niszy, a warto o niej i o jej pisaniu wiedzieć coś więcej.

Być może większość czytelników nie wie, że z tekstami Zielińskiej się zetknęło. Gdzie?, jak? Ano słuchając piosenek z „Piwnicy pod Baranami”. Jeden z kompозytorów tamtego magicznego, ba!, legendarnego miejsca, Andrzej Zarycki (związany mocno z Piwnicą), napisał sporo piosenek do tekstów Ireny. W większości śpiewała je Anna Maria Adamiak. Nawiasem mówiąc, w tym tomiku są „wiersze śpiewane” – ech, klimaty piwniczne powracają jak sen jakiś złoty...

Leszek Żuliński

Tomik opatrzony jest moim wstępem. Pozwolę sobie po prostu włączyć go w te recenzje. Oto on: Wiersze Ireny Zielińskiej czytuję od lat. Nauczyło mnie to szczególnych odniesień do jej poezji. Tu żadne kategoryzacje zdają się na nic. Zielińska żyje we własnym, immanentnym świecie. Ale byłyby czasy, kiedy takie klimaty tworzyły aurę, a nawet etos inteligencji polskiej. Bo my, Proszą z Państwa, z innej epoki. Z epoki Piotra Skrzyneckiego i minionej bohemy.

Powoli wszystko pójdzie w zapomnienie, ale Irena Zielińska nadal robi swoje. Jak przeczytacie w tej części książki jej dorobek jest niemały, ale przede wszystkim został zaanektowany w środowiskach bliskich Piwnicy pod Baranami. To – uogólniając – największy triumf jej pisania. Lecz nie tylko do tego sprowadza się pisanie Zielińskiej. W końcu wydała parę tomików rozmaitych. Niemniej ważnych niż jej „tekściarskie”

sukcesy. Zresztą chyba Zielińska niekoniecznie pisała „pod Zaryckiego” – on sam także przebierał dla siebie te wiersze.

Proszę zauważyć, że real i reizm występują tu rzadko. Kosmosem tych wierszy jest interior wewnętrzny, a więc to wszystko, co nam się śni i marzy. Irena Zielińska posiada swój osobny świat. Czy somnambuliczny? W jakiej mierze tak, ale raczej skłaniam się do nie naukowej diagnozy, że jakaś Chagallowska nuta „tańczenia w chmurach” tworzy tę poezję.

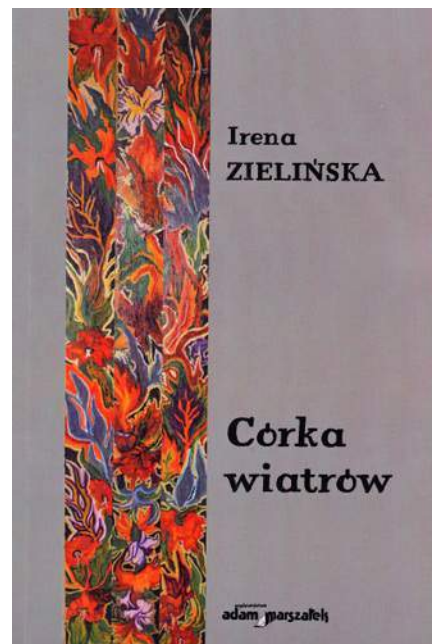
W jednym z wierszy padają słowa: *rodzę się na niespełnienie*. No, taka deklaracja powinna pociągać za sobą teksty traumatyczne. I owszem, sporo tu smutku, ale znowu paradoks: on tu nie dominuje. Z prostej przyczyny: Zielińska buduje, jak rzekłem, swój immanentny świat, a tu na ogół wszystko jest takie piękne, delikatne, czasami bajkowe.

Czy można żyć w kokonie własnych imaginacji? Ha, w poezji można wszystko! Znamienne jest to zdanie: *ptak samotności we mnie rozpina / coraz mniejsze skrzydła / udając coraz wyższe / loty*. Podobnych deklaracji i oksymoronów tu sporo. Jedno jest pewne: Zielińskiej nie interesuje świat realny, konkretny. On gdzieś tam sobie jest, a ona chyba przekonuje nas, że świat prawdziwy to ten, który dzieje się w naszej głowie. No i tu jeszcze ciśnię się na usta stara, szekspirowska maksyma: *Zdaje mi się, że widzę... gdzie? Przed oczyma duszy mojej*.

Z listu Ireny: *Chciałabym tylko powiedzieć Ci, że nie śnię tych wierszy... Tak sobie myślę, że zrodziły się one z ogromnej tęsknoty za pięknem – tak bardzo tendencyjnie odrealnionym dzisiaj, za Matką – tak jak za Muzyką*. Hm, oto autodefinicja trzech filarów, które unosiły Irenę w jej kreatywności. Trzy punkty oparcia i trzy ścieżki życia. Z takiej (lub podobnej) inspiracji bierze się każda poezja i dopełnia nasz „świat reistyczny” światem „duchowym”. Śnić nie trzeba – trzeba pragnąć! I chyba kochać, jakkolwiek to słowo pojmujemy.

W jednym z wierszy padają takie słowa: *życie to nadmiar sensu*. Przewrotna maksyma, jednak w tych kilku słowach tkwi ogrom naszego trudu, by zrozumieć: po co?, dlaczego? Ale i wiara w sens! Lecz tym samym te wiersze wpisują się w jasną stronę bytu, w wiarę w teleologię istnienia. Wiersze Zielińskiej są po jasnej stronie. Trudno je nazwać eudajmonistycznymi, bowiem tkwi w nich jakiś „ciężar bytu”, jednak i wiara właśnie w sens wszystkiego, co doznajemy. Mamy tu od lat z poetką siedzącą w niszy, ale jak postukać palcem, to otwiera się wielka przestrzeń egzystencji. Zdumiewająco czuła i mądra.

Irena Zielińska, *Córka wiatrów*. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017, s. 92.



Irena Zielińska

Mój świat

Mój świat to wycinek korytarza
w labiryncie planety
to spadający dach
ze szczytu domu

Wspinam się po kryjomu
po drabinie nieba
i spadam

Czas odmienia mnie przez pory roku
przez zdarzenia uderzenia
i przez ciosy
przez wypadki przypadki
głównie przez gramatyczny i optyczny
celownik

Trwam jak trawa
jak iza trawy – rosa
jak mydlana tęczowa bańka
na skrzydłach słonecznego wiatru

W ten sposób zamierzam się z motylką
na słowo wszechrzeczy
i rozmięgam krzątanie
losu
na sumę powietrza



Christian Medard Manteuffel

Rilkego ostatnia noc w rosarium

*... stać się snem niczym
pod tak wieloma powiekami*

R.M. Rilke – z epitafium na grobie poety

...ta noc nad ogrodem jest tak nierealna, że raczej
powinienem cię prosić, abyś przestała mnie łudzić,
byś powiedziała mi: *...wariat! ...powróć znowu do ludzi.*
A ty, twarzy mojej dotykasz i pytasz czy płaczę.

Noc nad rosarium, krople rosy spływają po kwiatach;
odgarniam twą gałązkę, a ty całujesz mi rękę...
I czuję, jak pod twym kółcem krew rozplywa się ciepłem,
i rozpoznaję w mroku twój piżmowy zapach.

Tak kocham cię, jak ogrodnik może kochać różę;
dotykając twych pąków dałem się odurzyć
i czekałem na tę chwilę, kiedy staniesz się kwiatem.

A teraz usta zanurzam wśród słodczy twych płatków,
a ty pytasz, czy płaczę... Nie wiem, nocą w suawium,
czy to łzy, czy to rosa, czy to usta tak krwawią...



Rys. Barbara Medajska

...dzika róża (impresje)

*...każdego dnia umiera jakiś poeta,
każdego dnia zapominamy jakiegoś poe...*

*wspomnienie polskiego poety
i trubadura Edwarda Stachury*

– ...dzień, jak każdy dzień,
i nikt prawie nie dostrzegł,
że jest to dzień, po tym dniu,
w którym poeta zmarł...
– ...nie, on tylko odszedł

– ...dzień, jak każdy dzień, gdy swoje wiersze pisał...
– ...nie, on ich nie pisał
– ...gdy w struny gitary uderzał...
– ...nie, on w nie nie uderzał
– ...gdy swoje ballady śpiewał...
– ...nie, on...

– ...ale ta róża!.. ona rośla tutaj, dzika
i dzień,
w dzień...
– ...nie, ona już nie zakwita

...on i róża: dwugłos pod pergolą

...czekałem na nią, jak zwykle, jak nocy każdej,
jak zwykle pijąc wino, wino czerwone jak jego nazwa „d’amore”

...mówiła mi, że bardzo lubi te noce i ten zapach wina czerwonego
jak sen,

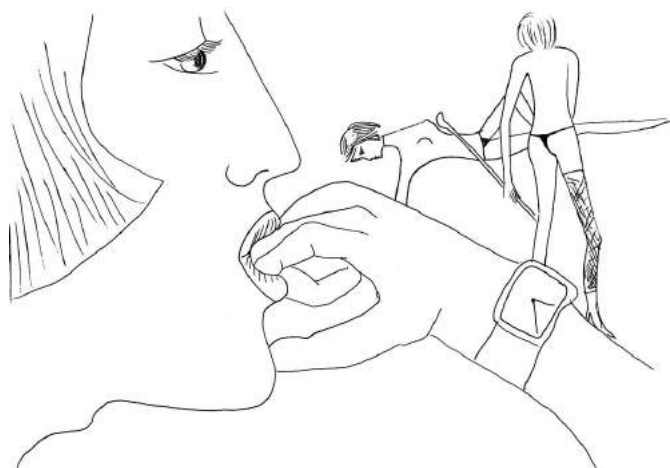
więc trzymając ją czule, jak kwiat, aby wydała swą woń
piłem słodkie wino i słuchałem jak mówi,
że chce pozostać na zawsze,
że chce abym ją pieścił,
w moim ogrodzie,
i nocy każdej
będziemy
razem
tylko
ona i
ja

... pamiętam, całowałem jej kwiat,
tę różę piżmową
gdy kwitła

...przyszedł jak zwykle, jak zwykle nocą,
jak zwykle pił wino, wino czerwone jak jego nazwa „d’amore”

...mówił do mnie, pijąc wino, jak mógłby mówić ogrodnik do swej
róży,
i dotykał mnie ustami czule, bym wydała swą woń,
a ja oddałam mu swój pierwszy kwiat,
mówił, że piękniejszych nie ma
w jego nocnym ogrodzie,
że nikt o nas nie wie
i że nocy każdej
będziemy
razem
tylko
on
i
ja

...pamiętam, całował mój kwiat
piżmowy tej nocy,
gdy zakwitłam



Rys. Barbara Medajska

Rafał Sulikowski

Niekończące się czytanie...

(1)

E-literatura: szanse i zagrożenia

Odkąd powstał cywilny Internet z miejsca powstały portale literackie, które publikują przeważnie wszystko, co prześlą użytkownicy. Każdy teraz może pisać i publikować, wrzucając do globalnej sieci, co się żywnie podoba, bez żadnej cenzury ani nawet korekty redaktora, który w tradycyjnej redakcji pomagał autorowi doprowadzić jego utwór do stanu optymalnego. Pojawiły się platformy self-publishingowe, gdzie autorzy mogą zadebiutować wydaniem e-booka, a nawet klasycznej książki. Własnym sumptem, a potem liczyć na to, że znajdą się czytelnicy, że znajdzie się publiczność, którą autor zaczaruje.

Czy to dobrze, że dziś debiut jest fraszką, że można pisać wszystko i o wszystkim, w dowolnej formie, w myśl nowej zasady, że Internet wszystko przyjmie, i mając nieograniczoną pojemność, wszystko zmieści? Nie wiem, za krótko obcujemy jeszcze z siecią, ale pierwsze owoce rewolucji w wydawaniu i redagowaniu utworów już są.

Po pierwsze, publikacja elektroniczna ma szansę szybciej dotrzeć do potencjalnych odbiorców na całym świecie, a na pewno w ojczywym obszarze językowym autora. To niewątpliwie zaleta – publikuje się jednym kliknięciem, utwór znajduje mnóstwo czytelników, jest odzew, pojawiają się zwrotne informacje w postaci komentarzy, wpisów do księgi pamiątkowej czy dyskusji na czacie i forach.

Po drugie, Internet to nadal jeden wielki chaos. Tradycyjna książka drukowana co prawda jest może mniej „ekologiczna”, ale zarazem umożliwia wędrówkę książki w świecie rzeczywistym, jak list, który wysłany sto lat temu dociera wreszcie do portu przeznaczenia, ponieważ przyszyła mu się po drodze przygoda w myśl zasady „habent sua fata libelli”, co się tłumaczy jako „książki mają swoje losy”. Autor pisząc dawniej, pisał dłużej, poprawiał, korygował, notował fiszki, słowem budował solidny warsztat. Nie spieszył się, nic go nie goniło, miał czas, zwłaszcza gdy otrzymał od wydawnictwa zaliczkę, żeby nie martwić się o codzienność i móc poświęcić swemu dziełu, czasami dziełu życia. Dziś?

Dziś książki się nie pisze, tylko produkuje, nie czyta, tylko liczy, albo kartkuje, skanuje, czego uczą okropne kursy „szybkiego czytania”, gdzie nawet beletrystykę i o zgrozo poezję czyta się jednym rzutem oka, co zabija estetykę przekazu, brzmienie słowa, a także powoduje nerwowy pośpiech: czytamy szybko, dużo, pobieżnie, bo nie da się czytać jednocześnie szybko i wnikliwie. To plaga –

pół biedy, gdy szybkie czytanie przeznaczone jest do opanowania podręcznika czy pomocy dydaktycznej, ale zabójcze jest dla przeżywania literatury szybkie kartkowanie tomików poetyckich, bo trzeba napisać szybko (na wczoraj!) recenzję, bo redaktor się śpieszy. Wyścig szczurów dotknął i nie ominął także nobliwej, dostojnej literatury, spowodował, że miernoty publikują, albo sprawiają, że skądinąd dobrze się zapowiadający przyszli pisarze, obniżają poziom, na przykład wrzucając do sieci naprędce sklecone pseudotekściki, kompletnie nieprzemysłane, napisane fatalnym stylem, skomponowane w sposób straszny, zdeformowane do tego stopnia, że nawet nie wiadomo, jaki to gatunek literacki, że nie wiemy, czy to liryka, epika czy esej. Mieszanie rejestrów, rodzajów literackich to wynalazek awangard dwudziestowiecznych i neoromantycznych, dziś zbieramy tego plony. Nie da się jednocześnie pisać poezji i prozy – trzeba się zdecydować, ale tu natrafiamy na pierwszy kłopot: autorzy cierpią na nadwybór – mają do dyspozycji tyle tematów i form wypowiedzi oraz środków artystycznych, i nie wiedzą, co wybrać, na co się zdecydować. Najpierw jest temat, potem forma. Tak było i to było dobre, a tego co z dawna dobre nie powinno się zmieniać, tylko dlatego, że za wszelką cenę chcę być oryginalny, stworzyć od nowa wszystko, wyrzucając całą tradycję literacką.



Rys. Barbara Medajska

I tu jest chyba coś ważnego – odcięci od tradycji literackiej, jesteśmy nowymi barbarzyńcami, bo czytając za dużo i za szybko, nic nie pamiętamy z tego, a pisząc dużo i szybko tworzymy chaos, w którym trudno cokolwiek znaleźć. Nawet tradycyjne wydawnictwa się spieszą, wydają pośpiesznie fatalnie zredagowane książki, które potem zalegają w magazynach i idą na makulaturę i przemiał.

Bardzo mało jest na świecie książek, które każdy kulturalny człowiek powinien znać niemal na pamięć. Tak naprawdę 96% tego, co się dziś publikuje, zwłaszcza w sieci, spokojnie i bez bólów sumienia można sobie darować nie tylko bez żadnej straty, ale jeszcze można ustrzec się przed toksyczną

literaturą”, jakiej pełno. Tak naprawdę w historii literatury polskiej jest może kilkanaście nazwisk godnych dziś uwagi, z czego poza granicami Polski znanych jest może czterech, pięciu, a pisarzy arcydzielnich jest jeszcze mniej.

Pozorne bogactwo duchowe, jakiego doświadczamy wchodząc do licznych księgarni albo logując się do jakiegokolwiek portalu literackiego, może zwieść: niech nas nie zmylą piękne, barwne okładki, chwytliwe tytuły i tak zwane „nośne” nazwiska. Być może największe skarby kryją się nie w sieci, a nawet nie w księgarni, ale w antykwariatkach, w piwnicach, na strychach, w bibliotekach klasztornych, w miejscach ukrytych przed profanami, bo literatura ma aspekt sakralny, jest zaproszeniem do tego, aby nie pokładać nadziei w rzeczach, ale w duchu.

Tworzyć jest rzeczą dobrą, ale czasami trzeba umieć pokornie oddać hołd tym, co nam przecierali, nieraz z narażeniem życia, jak Bułhakow, szlaki, żebyśmy mogli cieszyć się dziś pełnią wolności twórczej. Pamięć dziś słabnie – czytamy mniej, ale uważniej. Od niedawna tak robię, choć łapię się, że przyspieszam niecierpliwie, więc znowu zwalniam, wracam do przeczytanego, żeby uchwycić sens, zrozumieć, zapamiętać i wykorzystać lekturę w codziennym życiu. Lektura nie ma tylko odrywać od „garów”, ma też pomóc w ich myciu. A Internet jest kopią z ukrytego oryginału, podwójną kopią, więc odrywa nas, zamiast „pomagać być”. Lepiej, coraz doskonalej, coraz pięknie. Tylko tyle? Aż tyle...

Metafizyka czytania tekstów natchnionych

Istniała w XX-leciu międzywojennym eksperymentalna metoda „automatycznego pisma”, z którego potem – zapewne od Freuda z jego metody „swobodnych skojarzeń” – powstała literatura „strumienia świadomości”. Ominięto jednak w ten sposób, psychologizując literaturę, zgodnie z duchem tamtej ciekawej epoki, jeszcze inne zjawiska. Mam na myśli teksty mistyczne, jakie powstają od dawna w religiach światowych, a w chrześcijaństwie począwszy od czasów patrystycznych, jako świetne komentarze do pisma świętego, zwłaszcza nowego testamentu.

Po wybuchu deizmu, a potem ateizmu w XVIII wieku mogło się wydawać, że nie powstaną już teksty mistyczne, w rodzaju „Twierdzy wewnętrznej” Teresy z Avila, czy wielki traktat mistyczny Jana od Krzyża o dwu typach „nocy ciemnej”, przez którą musi

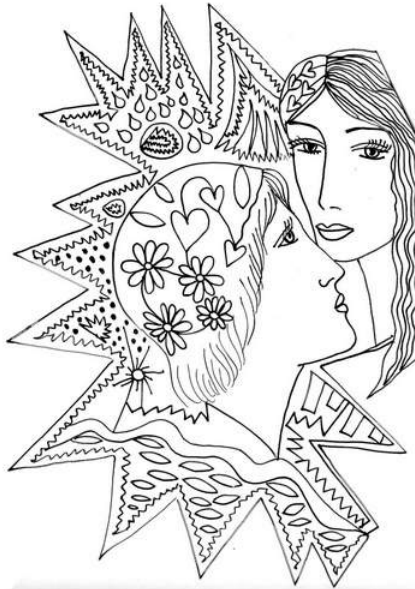
przejąć adept życia duchowego, jeśli chce dotrzeć na Górę Karmel, by tam zaślubić Oblubieńca. Takich dzieł, pisanych wspaniałym językiem, doskonale oddających zarówno rzeczywistość dostępną tylko podmiotowi pisma, mamy więcej. Nawet w Polsce, a znowu myślę tu o niezwykle trudnej w lekturze książce Heleny Kowalskiej, która już w zakonie jako Siostra Faustyna w latach 1934-38, w czasie, kiedy nazizm szalał w Niemczech, a w ZSRR Bułhakow zmagał się z pisaniem swego arcydzieła, a jednocześnie z komunistami, napisała 6 zeszytów, zapisanych gęstym, dość ładnym pismem ręcznym, piórem. Po śmierci zeszyty te schowano, obawiając się herezji, albo ujawniania sekretów rodzinnych czy zakonnych, ale po wojnie, dzięki staraniom Karola Wojtyły, niedługo rozpoczął się proces informacyjny i zeszyty te odnaleziono i przekazano komisji. Wkrótce zakazano kultu miłosierdzia, a zeszyty cudem ocalały, a i tak była to kopia, bo oryginalne w przypływie braku wiary w siebie siostra spaliła w piecu, a spowiednik nakazał jej odtworzyć te przeżycia raz jeszcze.

Gdy notyfikacja zakazująca kultu została cofnięta, można było pomyśleć o pierwszym wydaniu. Zrobione jednak zostało przez osoby amatorsko zajmujące się edytorstwem, i miało błędy, również rzeczowe. Dopiero kolejne wydania (1985, 1993 – z okazji beatyfikacji, 2000 – z okazji kanonizacji i nn.) są oryginalne, poprawne, sprawdzone co do zgodności z rękopisem. „Dzienniczek” Siostry Faustyny poznałem gdzieś we wczesnych latach 90-tych, podobnie jak cały kult, który zaprojektowała przebywając czasowo między wyjazdami w domu zakonnym w podkrakowskich Łągiewnikach. Poznałem i...

No, właśnie poznałem i nie poznałem. Inaczej mówiąc, czytam ten tekst od co najmniej 20 lat, i nie tyle, że nie mogę przeczytać od deski do deski, bo fizycznie nie jest to nie do zrobienia. Ale to tekst szczególnie, wciągający, głęboki, pokazujący horyzonty, które przerażają i fascynują zarazem, przekraczają je, idąc dalej i dalej, aż do nieskończoności. Ile razy chciałem przeczytać od do, tyle razy przerywałem lekturę gdzieś po 20 minutach, mając głowę pełną materiału do przemyśleń, więc stawałem, ale Dzienniczek cały czas krążył między półką z książkami do liceum, potem lekturami polonistycznymi, a biurkiem czy kanapą i nie chciał dać się schować razem z zeszytami do piwnicy. Wraciał, on ciągle wraca. I wiem, że będzie wracać, że nie opuści mnie aż do końca tej drogi, lektury, bo życie jest jak czytanie.

Cóż takiego zachwyca? Wiele osób zna historię życia i historię tego dzieła, więc opowiem swój sposób lektury. Umowa społeczna, że książka ma „początek” i „koniec” w świetle dekonstrukcji jest konwencją. Tego typu literatury, podobnie jak ksiąg wielkich religii, nie da się przeczytać od początku do końca. One nie mają początku ani końca, nigdzie się nie kończą, mają intratekstualne mechanizmy wewnętrznych odniesień. To są przewodniki, które towarzyszą nam w drodze, wyciągamy je przy jakimś zabytku, czy sytuacji, wynajdujemy odpowiedni fragment

i wyciągamy wnioski. Są jak podręczniki, których się nie czyta, ale wynotowuje potrzebne informacje, uczy się z nich, ale nie czyta jak powieść czy mikronarrację. Są jak słowniki czy encyklopedie, bo dzięki skrótowi opracowanym indeksom rzeczowym i tematycznym można przeczytać o tym, co nas w danej chwili interesuje, przestrasza, zasmuca czy raduje.



Rys. Barbara Medajska

I tak Dzienniczek ściągam od 20 lat z najwyższej półki w mojej biblioteczce, otwieram na chybił trafił i mam od razu in medias res, samo sedno, jak esencję mistyki – znajduję albo pouczenie mową wewnętrzną, głosem „Jezusa”, albo opis relacji w zakonie, albo dokonywane „cuda”, czy otrzymywane „objawienia” dla ludzkości. Oczywiście, że sporo z tego przypisać należy wyobraźni, ale tym tropem poszedł już spowiednik, kiedy nakazał Siostrze wykreślić wszystko, co jest jej fantazją, i podkreślić tylko to, o czym jest pewna, że stanowi nadnaturalną ingerencję czy interwencję samego Boga. I tak zrobiła, a spowiednik stwierdził, że więcej wykreśliła niż podkreśliła. Dokonanie tej autocenzury pozwala mniemać, że tekst został wstępnie oczyszczony z obrazów imaginatywnych, a te które pozostały można by klasyfikować – po wykluczeniu zaburzeń widzenia – jako autentyczne wizje i mistyczne obrazy symboliczne, scalające mistyczne poznanie zakonnic i jej piszącego ducha.

Obcując tyle lat z tym tekstem jedno mogę powiedzieć: warto czytać choćby wiele lat jeden tekst na wiele sposobów, niż wiele tekstów, jeden po drugim, na jeden sposób. To zresztą rada jednego wybitnego krytyka poznańskiego, który właśnie proponuje tę regułę: jeśli chcesz zrozumieć, co czytasz, lektura jednorazowa nie wystarczy. O problemie lektury wielokrotnej, powracającej pisał od strony teorii literatury Bartoszyński w latach 90. Jednorazowego użytku są tylko czytadła, wybite dzieła czyta się ze dwa, trzy razy, natomiast arcydzieła, zwłaszcza natchnione z innego wymiaru, rozpoczyna się czytać i nigdy się to czytanie nie kończy...

Joanna Wicherkiewicz

* * *

mam takie dwie zmarszczki
których nie lubię
pojawiły się
gdy uśmiech zabrały
wrony

* * *

drzewa kocha się łatwo
ściśnięte mocnymi ramionami
nadal zielone uległe
można wytatuować im serce
na wieczne umiłowanie
przychodził stokrotnie
nazywać swoim
schować w cieniu
przeszłość

czasami żółkną purpurowieją
zrzucają kolor
lecz potem znów zielenieją dla miłości

* * *

lubię słowo jutro
tyle w nim nadziei
na spełnienia

* * *

na urodziny dostałam mamę
zabieganą daleką
i bliską
gdy moje serce
przyspieszało ze smutku
przybiegała na koniec świata
by zaciągnąć cugle

* * *

o czwartej nad ranem
smutki kąpią się
w ciszy
zegar je dzieli
na dwoje



Ilona Warpas

Stanisław Przybyszewski jako twórca kryminału

Powieść kryminalna to: „odmiana powieści, w której podstawową dominantą kompozycyjną jest fabuła powiązana ze zbrodnią, jej dokonywaniem oraz wyjaśnieniem przyczyn i ujawnieniem osoby sprawcy”.¹ Jej symboliczny początek jako gatunku stanowi wydanie, uważanego za prototyp powieści detektywistycznej, opowiadania Allana Edgara Poe pt. *Zabójstwo przy Rue Morgue*, przypadające na rok 1841. Jednak za pierwszy, w pełni realizujący założenia formalne powieści detektywistycznej utwór, uważa się *Studium w szkarłacie* Arthura Conan Doyle’a.

Za sprawą licznych modyfikacji, jakie miały miejsce w obrębie gatunku, dziś na jego gruncie wyróżnić można cztery odmiany: powieść sensacyjno-awanturniczą, charakteryzującą się fabułą osnutą wokół tajemniczych przygód (w tym także przygód miłosnych) głównego bohatera – najczęściej wyjętego spod prawa dżentelmena; powieść detektywistyczną, w której nacisk położony jest na rozwiązanie zagadki śledztwa przez stosującego metodę dedukcji, nietuzinkowego detektywa; czarny kryminał amerykański, koncentrujący fabułę na próbie schwywania przestępcy i udowodnienia mu winy przez zaangażowanego w sprawę, nieprzebierającego w środkach i nie zawsze jednoznacznie pozytywnego detektywa; oraz charakterystyczną dla państw socjalistycznych odmianę milicyjną, łączącą w sobie cechy kryminału sensacyjnego i detektywistycznego z socjalistyczną powieścią tendencyjną.

Na gruncie polskim powieść kryminalna zaistniała nieco później niż w Europie Zachodniej. Pierwszym zanotowanym utworem pretendującym do tego miana, była wydana w 1872 roku *Sprawa kryminalna* Józefa Ignacego Kraszewskiego. Dzieło to dotyczy śledztwa w sprawie rzekomego zabójstwa właściciela wsi Orygowce, Daniela Tremmera, który – jak się później okazuje – sam je upozorował, by pod fałszywym nazwiskiem związać się z ukochaną Leokadią. Jednak, jak zauważa Anna Martuszczyńska², utwór ten gatunkowo dużo bliższy jest powieści obyczajowej niż kryminalnej. Na gruncie tej ostatniej, zresztą, jeszcze w pierwszej dekadzie XX wieku funkcjonowały przede wszystkim tłumaczenia utworów angielskich i francuskich oraz jedynie nieliczne próby zmierzania się z gatunkiem, kończące się najczęściej kiepskim efektem. Charakterystyczne, że realizowały one zbliżony schemat fabularny – akcja rozgrywała się zwykle za granicą, negatywni bohaterowie, w tym morderca byli obcokra-

jowcami, a czoła stawiał im dzielny detektyw, obowiązkowo Polak.

Choć *Słownik literatury popularnej*³ podaje, że z czasem sytuacja polskiego kryminału zmieniła się na lepsze, szczególnie w okresie międzywojennym, to – według Tomasza Bielaka⁴ – do roku 1925 ukazały się zaledwie dwie powieści o podtytule wskazującym na ten gatunek: *Zbrodnia w starym mieście*. Powieść kryminalna osnuta na tle stosunków warszawskich Marcina Pełki i *Czerwony błazen*. Tajemnica garderoby nr 3. Powieść kryminalna z życia warszawskiego Aleksandra Błażejewskiego, a faktyczny jego rozkwit nastąpił dopiero po roku 1956.

Należy jednak pamiętać, że powieść kryminalna już w latach wcześniejszych stanowiła obiekt zainteresowań wielu polskich twórców, którzy charakterystyczne dla niej motywy i wątki umieszczali w utworach gatunkowo odmiennych. Co wspólnego z ma tym fascynujący się złem, występkiem i wszelką psychiczną dewiacją modernistyczny pisarz, Stanisław Przybyszewski?



Źródło: Wikipedia

Stanisław Przybyszewski

Otóż, jedna z pozycji jego „niechlubnego” dorobku prozatorskiego, bo już od czasów jemu współczesnych uważa się, że „wszystkie liczne powieści nie tylko nie wnoszą żadnych nowych wartości, ale przeciwnie – stanowią smutny dokument postępującego nieodwołalnie naprzód rozkładu twórczości Przybyszewskiego”⁵, wydana w latach 1911-1912 trylogia *Mocny człowiek*, stanowi jeden z pierwszych przy-

kładów twórczego wykorzystania kryminalno-sensacyjnego schematu fabularnego.⁶ Utwór ten opowiada o losach słynącego z ostrego pióra dziennikarza Henryka Bieleckiego, który po śmierci swojego przyjaciela genialnego pisarza Jerzego Górskiego postanawia wydać jego dramaty pod własnym nazwiskiem. Decyzja ta jest źródłem dalszych komplikujących się wraz z rozwojem fabuły losów bohatera, których częścią nieodłączną staje się zbrodnia. W powieści mamy do czynienia jednak nie z jednym, a aż siedmioma zgonami. Choć – paradoksalnie – żadnego z morderstw nie popełnia Bielecki, dyskusji nie podlega jego odpowiedzialność za nie. Mężczyzna wykorzystuje bowiem brak umiejętności pływackich Łucji i doprowadza do utonięcia szantażującej go partnerki. Porzuconą przez niego kochankę, Adę Karską zabija natomiast upokorzony przez nią arystokrata Roman Poraj, który przyczynia się również do śmierci zagrażającego Bieleckiemu Kotowicza i który, nie mogąc udźwignąć jarzma dokonanych zbrodni, także swe życie decyduje się zakończyć strzałem z pistoletu. Z kolei Jerzego Górskiego, swojego przyjaciela, Bielecki utwierdza w przekonaniu, że śmierć jest sposobem wyzwolenia się z ograniczeń ciała, w wyniku czego mężczyzna popełnia samobójstwo. Podobny los wybiera także Nina, która dowiedziawszy się o zdradzie Henryka, rzuca się pod koła nadjeżdżającego pociągu. Przyznawszy się do wszystkich popełnionych zbrodni, ginie wreszcie i sam Bielecki, a śmierć zadaje mu malarz Borsuk, któremu w ramach eksperymentu Henryk uprzednio spalił artystyczny dorobek życia. Co istotne, wśród wymienionych wyżej ofiar nie sposób znaleźć osobę niewinną. Wszystkie one swoim postępowaniem w pewien sposób zasłużyły na swój los, a zabójca – w myśl stwierdzenia Slavojka Žižka⁷ – usuwając je realizuje jedynie pragnienia grupy, której część stanowią.

Poza planem fabularnym morderstwo jest tu jednak wpisane także w warstwę ideową. Tytułowy mocny człowiek przekracza przyjęte normy moralne i etyczne – popełnia zbrodnie, by udowodnić sobie samemu, że jest jednostką wybitną, która ma władzę nad własną wolą, że to on decyduje o swoich czynach a nie, że są one zdeterminowane przez zewnętrzne czynniki. Można by zatem rzec, że postać stworzona przez Przybyszewskiego jest doskonalszą, bo w pewnym sensie odnoszącą

(Dokończenie na stronie 10)

zwycięstwo, wersją Raskolnikowa. Autor jednak nie tylko motywy znane ze *Zbrodni i kary* wykorzystuje twórczo. Za sprawą licznych aluzji odsyła nas także do innych znanych z literatury europejskiej dzieł, określając tym samym dość wyraźnie zakres tradycji literackich, na których jego powieść bazuje. A są to, obok twórczości Dostojewskiego, także opowiadania Allana Edgara Poe (szczególnie *Rozmowa z Mumia*) oraz powieści Conan Doyle'a, czyli podwaliny powieści kryminalnej.

Nie oznacza to jednak, że utwór stworzony przez Przybyszewskiego jest typową powieścią detektywistyczną. Widoczne jest to zarówno w planie fabularnym, jak i kompozycyjnym. Prowadzony w dużej mierze z perspektywy mordercy, stanowi przykład tzw. powieści sprawcy⁸ i pozbawiony jest elementu nieodzwonnego, czyli tajemnicy. Niemal od pierwszej strony wiadomo jest, kto zabija, mimo to wydarzenia trzymają w napięciu, bo punkt ciężkości został tu przeniesiony na pytania: Czy uda się dokonać kolejnych zbrodni? Czy sprawca zostanie wykryty i pojmany? Nie na dochodzeniu zatem skupia się uwaga, a na obserwacji zmian dokonujących się w psychice zbrodniarza i na kierujących jego postępowaniem motywach. I choć autorowi, w budowaniu napięcia, momentami daleko jest do mistrzostwa, to jednak, za sprawą zmian perspektywy narracyjnej, pewne partie utworu – szczególnie te związane z postacią Reginy – swoją rolę w tym zakresie spełniają doskonale.

Jeśli chodzi o opisywany świat, zgodnie z zasadą identyfikacji⁹, dobrze znany jest on współczesnemu dla autora czytelnikowi. To świat zdemoralizowanego mieszczaństwa i modernistycznej bohemy artystycznej, swym klimatem zresztą doskonale wpasowujący się w nastrój powieści kryminalnej. Świat w pewnym sensie zamknięty¹⁰, gdyż obraca się wokół bliższych i dalszych znajomych głównego bohatera. Przybyszewski nie zachował jednak tak charakterystycznej dla klasycznego kryminału jedności miejsca (przebywający na co dzień w Polsce Bielecki udaje się z Łusią w podróż do Włoch, z Niną wyjeżdża do Wiednia) i czasu (trudno orzec jak długi okres czasu obejmuje akcja, w jej obrębie widoczne są też pewne przeskokami czasowe), co również związane jest z zastosowaną techniką narracyjną. Ale, podobnie jak w powieści kryminalnej, brak w *Mocnym człowieku* długich partii opisowych. Przybyszewski stosuje opis postaci i przestrzeni tylko wtedy, gdy ma to jakieś znaczenie dla zachodzących w psychice bohaterów zmian lub dla uwypuklenia pewnych charakterystycznych im cech.

Mimo widocznej już niekonsekwencji, utwór realizuje ponad połowę wskazanych przez S.S. Van Dine'a¹¹ dwudziestu założeń, które powinny cechować typową powieść detektywistyczną. Idąc za ich porządkiem, do zawartych już ustaleń dodać można także postać detektywa. Realizacja Przybyszewskiego jest przy tym o tyle ciekawa, że nie jest nim jeden i ten sam człowiek. Jego rolę najpierw pełni wspomniany już znajomy Henryka, Kotowicz, o którym mówi się,

że ma „węch psa policyjnego [...] kombinuje, delikatnie niteczki wiąże cierpliwie bez irytacji i zdenerwowania”¹², aż wreszcie odkrywa prawdę o autorstwie rzekomych dramatów Bieleckiego i jego wkładzie w samobójstwo Górskiego. Czeką na dogodny moment, by prawdę tę wyjawić, nigdy on jednak nie następuje, gdyż traci życie w pojedynku z Porajem.

W dalszej części utworu jego rolę przejmują Regina Koliczka – znajoma Bieleckiego, pomagająca mu w prowadzeniu redakcji pisma „Romowe”, którą zwalnia on z powodu nielojalności. Kobieta poprzysięga zemstę, na której realizację nie musi zresztą długo czekać. W wyniku nieostrożności Henryka odkrywa jego romans, a trzeba dodać, że „[z]aden, nawet najrzeczniejszy detektyw, nie był w stanie tak solidnie i z taką precyzją wymyszkować stosunku Bieleckiego do pani Tańskiej”¹³ jak właśnie ona. Jak na detektywa przystało, poza intuicją i sprytem, podobnie jak ma to miejsce w przypadku Kotowicza, ma ona w sobie coś odpychającego – u Kotowicza było to zachowanie, u niej wygląd, była to bowiem „brzydka i niezwykle chuda dziewczyna z namiętą, wużdżaną prawie twarzą”¹⁴. Jej brzydota służy tu uwypukleniu równie nieciekawego wnętrza, za czym przemawia fakt, że nie na Bieleckim bezpośrednio kumuluje ona swoją złość, a na oszukiwanych przez niego kobietach – posługując się zranioną i wściekłą Tańską, doprowadza ostatecznie do śmierci niczego nie podejrzewającej Niny.

Cały czas w ślad za głównym bohaterem podąża też tajemniczy Uhera. Jest to postać, którą wymyślił sam Bielecki, jako symbol wszystkich swoich obaw i lęków, co odzwierciedlać miało jego nazwisko: „U, ciemne brzmienie – h – przydech niepokoju – e – pewne zdumienie... – r – zgrzyt – a – to jasne <<a>> – wyzwolenie!”¹⁵

Choć osoba ta zdaje się przybierać realne kształty, najpierw w osobie dawnego przyjaciela Górskiego, Surzyckim, a później w sponsorującym publicystyczne poczynania Bieleckiego Hederze, to rzeczywistości stanowi jeden z sobowótornych cieni Bieleckiego¹⁶, personifikację wątplenia i nekających go niekiedy wyrzutów sumienia. Jak się zatem okazuje, w tym przypadku, morderca i detektyw to jedna i ta sama osoba i choć, jak zauważa Roger Caillois¹⁷ użycie w takiej roli sobowótora uważane było za godne pożałowania, to w przypadku Przybyszewskiego duplikacja zachodzi na płaszczyźnie psychiki, mamy więc do czynienia z ciekawym pojedynkiem – Bielecki walczy nie z podszywającym się pod niego człowiekiem, ale z częścią własnej podświadomości.

Choć o wspomnianych *quasi*-detektywach występujących w powieści wiadomo niewiele, to już z tych, zawartych w szczerkowych opisach informacji wywnioskować można, że wzorowane są na takich postaciach jak Sherlock Holmes. Nie rozum i dedukcja jednak są ich domeną a intuicja.¹⁸ Poza charakteryzacją na „klasycznego detektywa” i sprytem niewiele mają z nim wspólnego. W przeciwieństwie do niego są

uczestnikami wydarzeń, są bezpośrednio związani ze środowiskiem, którego dotyczy zbrodnia. Widoczne jest też ich osobiste zaangażowanie w sprawę – odkrycie i wyjawienie prawdy stanowi rodzaj uregulowania długu, wyrównania rachunków. Nie jest ani hobby, ani źródłem dochodu. Bywają też bezwzględni i cyniczni, bliżej im zatem do detektywa rodem z czarnego kryminału, choć pozbawieni są jego najistotniejszej cechy – ten działający na granicy prawa człowiek, w przeciwieństwie do nich, stanowi bowiem ostoję pewnych zdevaluowanych w jego świecie wartości.

W wizji świata wykreowanej przez Przybyszewskiego takiej ostoji w ogóle brak. Co prawda, stworzeni przez niego bohaterowie są zdegenerowani w różnym stopniu, nie wszyscy też posiadają patologiczne skłonności, trudno wśród nich wskazać postać jednoznacznie pozytywną, której postępowanie nie byłoby przynajmniej raz naznaczone moralną zbrodnią. Z symbolem antywartości nie ma już takiego problemu, pozostaje nim bezsprzecznie Bielecki, wspierany czasem przez bliźniaczko zbrodniczą duszę Ady Karskiej, która to stanowi dla niego przede wszystkim źródło pomysłów, swoisty katalizator zbrodni. Uświadamia mu je, prowokuje i motywuje do działania, utwierdzając przy tym w przekonaniu o ich słuszności i niwelując poczucie winy. W realizacji zbrodniczych planów bezpośrednio jednak nie uczestniczy.

W obliczu przedstawionych faktów trudno, w myśl postulatów Cailloisa¹⁹, powieść Przybyszewskiego potraktować jak rebus, czy zadanie do rozwiązania, wszystko bowiem od samego początku jest jasne. Trudno też wymagać od utworu właściwości katartycznych, bo zaprezentowanej wizji świata daleko do idealizacji.²⁰

Chociaż zagadka zbrodni i tym razem zostaje rozwikłana, a sprawca przestępstwa, jednostka niebezpieczna i zagrażająca ładowi społecznemu, ujęty i wyeliminowany, to jednak do sytuacji tej dochodzi nie za sprawą nieomylnego przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, a jedynie dlatego, że mężczyzna sam przyznaje się do winy i to nie w wyniku dręczących go wyrzutów sumienia, ale po ty by ostatecznie objawić swą moc i zatriumfować. Wizja świata stworzonego przez Przybyszewskiego jest więc dużo bardziej pesymistyczna niż ta wyłaniająca się z klasycznego kryminału, z którego także w planie fabularnym pisarz czerpie motywy.

Wykorzystana przez niego zostaje m.in. reguła zamkniętego pokoju.²¹ Ma to miejsce w kreacji sceny śmierci babki Bieleckiego – nieufna kobieta, mimo podeszłego wieku i schorowanego organizmu zamyka się bowiem na noc na klucz. Nie wie jednak, że panna Tosia – jej lektorka i towarzyszka, a zarazem jedyna zaufana osoba, posiada jego kopię. Bielecki wykorzystuje ten fakt, by zaaranżować rozmowę z babką, która odkąd się wyrzekła, nie chce się z nim widzieć. Niedająca się przekonać do spłacenienia długów wnuka, szantażowana i zastraszona przez niego umiera, a Bielecki pozostawia jej ciało, zamyka pokój i odchodzi

Stanisław Przybyszewski jako twórca kryminału

(Dokończenie ze strony 10)

nakazując Tosi, by ta zawiadomiła policję o zgonie staruszki, po tym jak zabierze wszystko, co może jej się przydać.

Pojawia się też w *Mocnym człowieku* motyw gry, wykorzystywany często do demaskacji sprawcy, w myśl zasady: „[p]owiedz mi, jak grasz, ja ci zaś powiem, czy zabiłeś, ponieważ gramy tak, jak zabijamy, ostrożnie albo odważnie, ryzykując mało albo ogromnie”.²² Zaaranżowana przez Hederę rozgrywka szachowa z Bieleckim staje się jednak nie tyle metaforą gry o życie, co metaforą prowadzonej przez bohatera gry z życiem, która podsycana jest żądzą zwycięstwa. „[P]ostaawiłem pana na mojej szachownicy, sam sobie trudu nie zadaję, by pana dalej posuwać, ciekaw jestem tylko, jaką drogą [...] mój żywy pionek pójdzie”²³, mówi do Bieleckiego Hederę i odchodzi pozostawiając bieg wydarzeń w rękach tego przekonanego o swej wielkości i sile demurga, co ostatecznie kończy się katastrofą.

Podsumowując: „Przybyszewski nie był zapewne twórcą najwyższej klasy, był poprzednikiem wyrabującym nowe drogi, Janem Chrzcicielem, tym co prostejście Pańskie”.²⁴ Do listy popularizowanych przez niego, jeszcze przed ich faktycznym zaistnieniem na gruncie literatury XX-wiecznych zjawisk i nurtów obok psychologizmu i psychoanalizy, ekspresjonizmu, irracjonalizmu i nadrealizmu oraz egzystencjalizmu dopisać można także powieść kryminalną. I choć analizowany tu utwór, uważany jest za artystycznie najslabszy, doczekał się nie tylko kilku wydań (także za granicą) ale i ekranizacji. Zdaje się, że sekret jego popularności, podobnie jak ma to miejsce w przypadku typowych kryminałów, tkwi w jego sublimacyjnych właściwościach. Według ustaleń psychoanalityków, każdy człowiek posiada naturalną tendencję do czynienia zła, każdy z nas jest więc potencjalnym mordercą. Obcowanie z powieścią kryminalną stanowi zatem swoiste źródło przyjemności. Pozwala w bezpiecznych warunkach domowego zacisza zaspokoić zbrodnicze pragnienia (w przypadku Przybyszewskiego także pragnienie władzy i sławy). Pozostawia przy tym czytelnika i jego „ofiara” w sferze czysto fantazmatycznej. To, że w czasie lektury staramy się myśleć jak morderca, podświadomie się z nim identyfikując – co, dodajmy, także z perspektywy detektywa stanowi podstawowy warunek rozwikłania zagadki – skutkuje tym, że w realnym życiu pragnienie czynienia zła, czy działania poza pra-

wem nie muszą już być realizowane.

Ilona Warpas

¹ *Słownik literatury popularnej*, red. Tadeusz Żabski, Wrocław 1999, s. 464.

² Zob. A. Martuszevska, „Sprawa kryminalna” *Józefa Ignacego Kraszewskiego*, <http://zbrodniawbibliotece.pl/analizy/102,sprawakryminalnajozeffaigagnacegokraszewskiego>, [dostęp: 10.04.2012].

³ *Słownik literatury popularnej*, op. cit., s. 469.

⁴ T. Bielak, *Proza Macieja Słomczyńskiego (Joe Alexa)*, Katowice 2008, s. 86.

⁵ R. Taborski, *Wstęp*, [w:] S. Przybyszewski, *Wybór pism*, Wrocław 1966, s. XLIII.

⁶ Por. G. Matuszek, *Stanisław Przybyszewski – pisarz nowoczesny. Eseje i proza – próba monografii*, Kraków 2008, s. 298.

⁷ Por. S. Żiżek, *Logika powieści detektywistycznej*, „Pamiętnik literacki” 1990, z. 3, s. 269–270.

⁸ Zob. *Ibidem*, s. 278–283.

⁹ T. Bielak, *Proza Macieja Słomczyńskiego (Joe Alexa)*, op. cit., s. 93.

¹⁰ Por. R. Caillois, *Powieść kryminalna*, [w:] tegoż, *Odpowiedzialność i styl: eseje*, Warszawa 1967, s. 175.

¹¹ Zob. T. Bielak, *Proza Macieja Słomczyńskiego (Joe Alexa)*, op. cit., s. 126–128.

¹² S. Przybyszewski, *Mocny człowiek*, Warszawa 1929, Biblioteka Tygodnika Ilustrowanego, t. 66, s. 29.

¹³ S. Przybyszewski, *Święty gaj. Mocnego człowieka cz. III i ostatnia*, Warszawa 1913, s. 268.

¹⁴ *Ibidem*, s. 179.

¹⁵ S. Przybyszewski, *Wyzwolenie, Mocnego człowieka cz. II*, Warszawa 1929, Biblioteka Tygodnika Ilustrowanego, t. 68, s. 10.

¹⁶ Zob. G. Matuszek, *Stanisław Przybyszewski...*, op. cit., s. 305.

¹⁷ Por. R. Caillois, *Powieść kryminalna*, op. cit., s. 187–189.

¹⁸ Por. S. Żiżek, *Logika powieści detektywistycznej*, op. cit., s. 257–272.

¹⁹ R. Caillois, *Powieść kryminalna*, op. cit., s. 189–193.

²⁰ Por. S. Żiżek, *Logika powieści detektywistycznej*, op. cit., s. 266–271.

²¹ Por. R. Caillois, *Powieść kryminalna*, op. cit., s. 181.

²² *Ibidem*, s. 180.

²³ S. Przybyszewski, *Święty...*, op. cit., s. 124.

²⁴ A. Hutnikiewicz, *Młoda Polska*, Warszawa 1999, s. 213.



Rys. Barbara Medajska

Ryszarda Mścisz „Czytanie nieobojętne”

Niedawno ukazała się książka **Ryszarda Mścisz** „Czytanie nieobojętne”, będąca zbiorem recenzji pisarzy Podkarpacia. Na tę książkę środowisko twórcze regionu, związane głównie z kręgami ZLP, czekało od dawna. Ryszard Mścisz należy do grupki nielicznych podkarpackich recenzentów, którzy śledzą twórczość miejscowych poetów i prozaików, i chętnie wspomagają ich swoim piórem. Mścisz nie robi tego zawodo, ale na ile nie przeszkadza mu działalność dydaktyczno-wychowawcza i własna twórczość, stara się znaleźć czas dla innych, wnikliwie czytając przesłane mu tomy poezji czy prozy i dokonując oceny ich walorów czytelniczych, jak i poziomu artystycznego. Mścisz robi to zresztą fachowo, jak wypada krytykowi literackiemu, drukującemu także w pismach poświęconych literaturze. Jakkolwiek u każdego autora znajdzie zawsze plusy i minusy, to jednak w swojej ocenie stara się być obiektywny, dotrzeć do sedna, pouczyć, ale i zachęcić, szczególnie młodocianych adeptów sztuki literackiej. Napisana przez niego recenzja bywa zazwyczaj traktowana w środowisku jak nobilitacja, pasowanie na poetę czy prozaika. Dlatego chętnych, zwracających się do niego z prośbą o recenzję jest wiele osób, bywa, że także spoza regionu. „Łatwo zauważyć – pisze w swojej przedmowie Mścisz – że istnieją tu wyraźne recenzenckie proporcje w odniesieniu do autorów. Nie decyduje o tym jakaś ocena autorów, ich poziomu, ale pewne wzajemne relacje, współpraca, możliwości czasowe i innego rodzaju okoliczności. Choć w miarę możliwości starałem się napisać o tych dziełach, które mnie zainteresowały, w jakiś sposób sprowokowały do wypowiedzenia się na ich temat”.

Większość recenzji była jedynie wygłaszana na spotkaniach autorskich, niektóre zaś zaistniały drukiem tylko jak przedmowa czy posłowie do tomików. Dlatego dobrze się stało, że prezydent Stalowej Woli Lucjusz Nadbereźny, dostrzegł taką potrzebę wspomaganie miejscowego środowiska literackiego. Niestety, bez krytyki nie ma twórczości. Poeci i prozaicy chcą być dostrzegani nie tylko w mediach, ale także oceniani przez ludzi fachowo do tego przygotowanych. Krytyk może się mylić w swojej ocenie, ale jego opinia ma wpływ na wycenę dzieł i ocenę twórców, a bez takiej opinii i oceny nie może być twórczego środowiska i twórczego fermentu. *Verba volant, scripta manent*.

Mirosław Osowski



Zamyślenia



Anegdoty literackie prosto z kuchni

Te zapiski są w jakimś sensie kluczem do przyjrzenia się polskim tuzom literackim (i artystycznym) w oddalającym się czasie PRL. To świadectwo, że tacy byli między nami, istnieli, myśleli i działali na niwie kultury. Tadeusz Kwiatkowski odkrył i zebrał owe anegdoty w sposób odpowiadający chronologii wydarzeń kulturalnych tamtych czasów, mówiąc nam: tacy oni byli...



Fot. Wikipedia

Ludwik Jerzy Kern

Ludwik Jerzy Kern – poeta i satyryk, przeczytawszy notatkę o wielkim powodzeniu komedii Jerzego Jurandota w Kijowie, powiedział:

– Ta sztuka warta jest nie jeden Kijów, ale ze dwadzieścia.

Napisał też fraszkę:

Jakże bogata natura obdarzyła tego

chłopca,

Duszę dała mu poety, a ciało – ciężarówca.

Po przyznaniu dorocznych nagród ZLP za poezję i krytykę Stanisławowi Wygodzkiemu i Kazimierzowi Wycie – jeden z dziennikarzy wysłał do swego pisma depezę o treści: WYjątkowe WYdarzenie, WYmowniejsze WYniki, WYsokie WYróżnienia WYgodzkiego i WYki.

Stanisław Radkiewicz został mianowany ministrem Bezpieczeństwa Publicznego. Magdalena Samozwaniec zapytała Artura Marię Swinarskiego:

– Słuchaj Ałtułku, ten nowy minister, co to jest za postać?

Ten odparł: – To nie postać, to posiadzie!



Fot. Wikipedia

Artur Maria Swinarski

Adolf Rudnicki zapisał się do partii, ale długi czas nie odbierał legitymacji. Na zebraniu POP „Kuźnicy” odbyła się nasiadówka. Wzięli w niej udział K. Brandys, M. Jastrun, R. Matuszewski i Adam Ważyk. Wezwany Rudnicki miał złożyć wyjaśnienia dlaczego zlekceważył podstawowe powinności członka Partii. Rudnicki zaczął się tłumaczyć, co czynił nader impulsywnie. Wtedy Ważyk począł go uspokajać, zaś Pollak uznał, że to nie żarty, pytając: – Towarzyszu Rudnicki, kiedy zdecydujecie się to uczynić? Chcecie należeć do Partii czy nie?

Zaległa cisza. Rudnicki po dłuższej chwili i drapiąc się po piersi w rozchełstanej koszuli, lirycznym głosem odparł z czułością:

– Bardzo chcę!

Jakiś czas po śmierci Tuwima w kawiarni Literatów na Krakowskim Przedmieściu siedział Artur Maria Swinarski z kilkoma innymi literatami. W pewnej chwili wskazując na sąsiedni stolik Swinarski mówi:

– Patrzcie na tamtych satyryków. Znam ich, to Boruński i Brudziński. Cholera, obaj mają wydatne nosy podobne do nosa Tuwima. Oni po prostu zapuszczają profil zmarłego...

Grupa pisarzy polskich z Jerzym Putramentem na czele zwiedzała Leningrad. Była to jedna z pierwszych delegacji ZLP w ZSRR. Wycieczkę oprowadzał jakiś wybitny literat radziecki. Przed Pałacem Zimowym pisarz, opowiadając bardzo obrazowo historię ataku robotników na pałac. Gdy doszedł do momentu, kiedy robotnicy zdobyli pałac, podkorytowany dramatycznym i ekspresyjnym opowiadaniem radzieckiego kolegi Morcinek przerwał mu i chwytając go za rękaw, zapytał:

– I co? Zdobyli?

Po premierze „Intrygi i miłości” Fryderyka Schillera i w jego reżyserii, jedna z wysoko postawionych osób z KW zadzwoniła do niego z gratulacjami:

– Mistrz pisze wspaniałe sztuki. Mam tylko jedno pytanie, dlaczego mistrz napisał sztukę w języku niemieckim, tak że trzeba było ją tłumaczyć?

Schiller bez zająknięcia odpowiedział:

– A bo pisałem ją w czasie okupacji.



Fot. Wikipedia

Tadeusz Borowski

Na jednym z zebrań sekcji prozy (a była owa sekcja jednym z naczelnych osiągnięć zjazdu delegatów w okresie błędów i wypaczeń) jeden z pisarzy przy oddziale warszawskim ZLP został niemiłosiernie skrytykowany przez ówczesnych „zoilów”. Wściekły poszedł do kawiarni związkowej i tam zaczął go Tadeusz Borowski, który z troską w głosie zapytał:

– Co teraz piszesz, Stasiu?

– Gówno! – odparł tamten lakonicznie.

– To wiem – kiwnął głową Borowski – ale pod jakim tytułem?

Kazimierz Iwossé

Kozetka (25)



Goście, Goście

*Goście to mili ludzie.
Nie patrzą na zegar, mają apetyt
i mówią wszyscy naraz.*

Seweryn Eugeniusz Barbag

„Goście, goście”, to jeden z moich ulubionych filmów. Tak, mam słabość do francuskich komedii, wiem, że to infantylne.

„Enfant terrible” to jedno z moich wcieleni.

...a co, gdybyśmy czasem pomyśleli o sobie w kategoriach gości?

Jako dziecko miałam w tym świetną praktykę, uwielbiałam bawić się w „ciotki”, miarkować życie wśród maleńkich filiżanek, maciupięknych garneczków i miniaturowych kuchenek do pieczenia.

Joanna Friedrich

Czego się w tych garnkach nie gotowało! Dzieci to urodzeni miniaturzyści. (Wczoraj miałam okazję zobaczyć dwie kilkuletnie dziewczynki bawiące się „w podróż”, miały dokładnie cały ekwipunek, m.in. letnie kapelusze, różowe walizki na kółkach i kolorowe lizaki na drogę.) Przyglądają się światu z bliska, a on ożywa na ich oczach jak zaczarowany. Każda trawka, każda biedronka i każdy pasikonik ma znaczenie. Jak się uda i nie odleć za szybko, dostają nawet imiona. David Lynch mawia, że jego dzieciństwo było najwyklesze, pomiędzy rzędami podobnych domków i równo przyciętych trawników.

Co więc przykuwało jego uwagę? Życie owadów. Przypomina mi to moje dziecinne godzinne gapienie się na mrówki, pszczoły i ogólnie „życie w trawie”.

Jako osoba ciut większa zdecydowałam się manipulować większymi istotami niż mrówki. Objawiało się to tym, że zaprasza-

łam, pomimo całej swojej wrodzonej nieśmiałości co odważniejsze ciotki, niekonieczne spokrewnione. I tak moja mamusia, podczas świąt (dla każdej Wielkopolanki) porządków w każdą sobotę miała wizytyniespodzianki. Na szczęście do zwyczajów Wielkopolanek należało wtedy upieczenie ciasta (zamiast rozpylania sztucznych zapachów odświeżających i umilających atmosferę domu), porządki spokojnie czekały, w tle leciało „Queen”, ciotki plotkowały nad parującą kawą, a ja zamieniałam się w słuch i bezruchem próbowałam zmniejszyć swoją obecność.

Wtedy działa się najciekawsze, kobiety wśród kobiet olśniewają. Fartuchy odfruwają, tam, gdzie ich miejsce, w ruch idą dłonie, mrugnięcia, parsknięcia, prychnięcia. Dobre kotki zamieniają się w salonowe lvice. Codzienna zbroja wyraźnie się osuwa, narażona wojenna trwa w najlepsze. Kobięca narażona dotyczy innych zbrojeń i innych podbojów niż te, dajmy na to, napoleońskie. Wspólne są tylko napoleońskie. Tu się omawia ważne sprawy i najważniejszy oręż. Jak sprawić, by panowie jedli nam z ręki, jak dostać konia z rzędem lub upolować szpilki z krokodylęj skóry? Jak wejść w rolę, nie wyjść z roli, jak ją najlepiej odegrać. Kobiety to urodzone aktorki! Ich naprędce klecone majstersztyki to szczyt osiągnięć Felliniego. Ten zestaw spojrzeń, uśmiechów, pomysłów. Zupełnie jak w sklepie z cukierkami. Każda kobieta to inna czekoladka.



Anturaz min, którymi nie pogardziłyby sam Gombrowicz. „Chocolate Factory” na wesoło. Kobiety mają wybitną pamięć. Słonie przy nich się chowają. Działa ona niczym taśma filmowa i kino w jednym. Scenariusze nigdy się nie powtarzają, a filmy nie zawsze dają się opowiedzieć. Ale wszystko wiadomo. Czasem jeszcze dorabiamy kostiumy lub po prostu wymyślamy nowe wcielenie i w drogę. Zbieranie falban z podłogi wygląda niczym ekspresowa akcja z cyklu „Transformers” dla pań. (Skarbnica wiedzy dla dziewczynki. Potem szczęki z podłogi będą zbierać chłopcy.)

Za chwilę nie będzie po nich nawet śladu, a wszystkie kufry zostaną w wysoce pojemnych wnętrzach, małych, kształtnych dam-

skich główek, które od wieków próbują objąć rozumem Balzac, Tołstoj, Dostojewski, i inni. Ale ponieważ są paniami, nigdy nie zostaną paniami sytuacji, chyba, że przez siebie opisaną i stworzoną od podstaw. Czasem myślę, że niektóre powieści (a także filmy) powstawały tylko dlatego, aby na ich kartach (klatkach filmowych) ujarzmić, w końcu, kobiety...

Kobiety częściej niż mężczyźni zdają sobie sprawę, że są tutaj, gdzie są tylko na gościnnych występach. Nasz zegar biologiczny jest superczułym aparatem. Umiemy odmierzyć dokładnie każdą wiosnę z każdym jej kwiatem i każdym promieniem słońca. To pokłosie tego, o czym już pisałam – osmotyca bliskość matki natury robi swoje. Podejście mężczyzn jest być może bardziej konceptualne, ale często lekceważy instynkt. Nagi instynkt to specjalizacja damska.

A kiedy wzorowy koncept łączy się z niezakłóconym instynktem, mamy naprawdę nieprzeciętne show, ościnne występy piękności Felliniego na obiedzie u Lyncha. Jakże często wcielenie w życie koncepcji panów leży w rękach płci pięknej...



Eliza Segiet

Derka

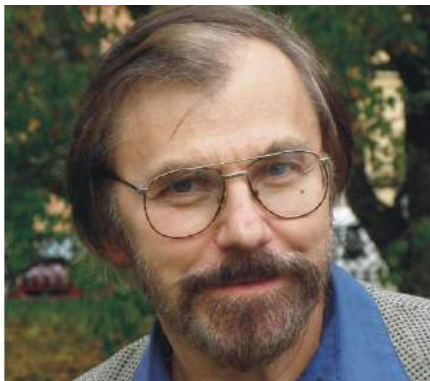
Wczoraj byłem w Łodzi u przyjaciół – dzisiaj wiem, że tylko we śnie można ich spotkać. Wczoraj śniłem o fabrykach, – dzisiaj wiem, że tam szyją niemieckie mundury.

Wczoraj jechałem dorożką – dzisiaj wiem, że muszę być silniejszy od konia, który ją ciągnął.

Wczoraj spałem w wykrochmalonej pościeli – dzisiaj moja prycza jest przykryta derką.



Listy do Pani A. (I IO)



Półwiecze i rżnięcie

Miła Pani!

Im jesteśmy starsi, tym szybciej ucieka nam czas. Przynajmniej ja mam takie odczucie, ale myślę, że nie jestem w tym odosobniony. Przed chwilą skończyłem czytać książkę Moniki Piątkowskiej „Prus. Śledztwo biograficzne”. Rzecz bardzo ciekawa, zawiera wiele szczegółów z życia pisarza. Ale nie o tym chciałem Pani powiedzieć.

Prus, kiedy umierał był młodszy ode mnie dzisiejszego. Tymczasem ja czuję, że tak niewiele upłynęło mojego życia; że wszystko, co najciekawsze, jest jeszcze przede mną; że wiele napiszę, zdziałam, przeżyję. Jest w tym pewna sprzeczność, ponieważ widzę jak czas pędzi, a z drugiej strony nie czuję, że ubywa go w sensie egzystencjalnym.

Podczas lektury dostrzegłem także niejakie podobieństwa naszych charakterów. Wprawdzie nie jestem aż tak jak on znerwicowany, nie odczuwam lęku przestrzeni, może tylko wysokości, ale też nie jest to lęk paniczny. Natomiast jeśli chodzi o widzenie świata, stosunek do ludzi, pewien typ wrażliwości, dostrzegam spore analogie. Podobnie jak jego, interesuje mnie świat metafizyczny, zagadnienia dotyczące życia wiecznego, przetrwania poza progiem śmierci, istnienia Absolutu – a wszystko to poza, czy ponad, ortodoksyjną konfesyjnością.

Przymierzając swoje życie do życia Prusa widzę wyraźnie, że mógłbym już od kilku lat nie istnieć. Ale jestem, czuję się zupełnie dobrze, staram się nie myśleć o tym, że nie mam już lat dwudziestu. Żyję chwilą. Może to zabrzmieć obrazoburczo – ale czuję się Pani rówieśnikiem.

Niekiedy chwile wydłużają się. Już minął szmat czasu, od kiedy wróciłem ze staszowskiego pleneru, a jeszcze mam w pamięci wydarzenia, które miały miejsce jakby wczoraj.

Wspominałem Pani o spotkaniu z Benedyktem Koziełem. Jako prowadzący opowiedziałem pokrótce o jego twórczości. Bardzo polecam Pani jego polsko-bułgarski tom „W środku tajemnicy. Wiersze wybra-

ne”. To – wbrew pozorom – trudne teksty. Oszczędne, niemal ascetyczne, bardzo skondensowane. Ich cechą jest kreatywność, zaskakujące skojarzenie, poetycka wyobraźnia. To wiersze wieloznaczne, dające się interpretować na różne sposoby, ale nie chaotyczne. Poeta prowadzi konsekwentnie wyobraźnię czytelnika, nie pozwalając jej zejść na manowce.

Spotkania literackie niemal zawsze obfitują w tomy poetyckie, które autorzy wymieniają ze sobą. *Książkę tę dedykuję Przyjacielowi po piórze, Stefanowi Jurkowskiemu, z podziękowaniem za przychylnie słowa* – napisał mi na swoich „Reliefach serca” Jan Lechicki. Dedykacja tym bardziej wzruszająca, że autor jest ode mnie starszy o siedemnaście lat. Pomimo różnicy pokoleń, innej poetyckiej formacji, porozumiewamy się doskonale. Zawsze mamy sobie coś do powiedzenia, łączy nas podobne poczucie humoru, jakaś wrodzona młodość.

Poezja Lechickiego dąży do zgłębienia ludzkiej psychiki, pragnie zdefiniować niejako naturę człowieka. Poeta, w dodatku lekarz, znakomity obserwator i psycholog, doskonale zdaje sobie sprawę z niejednoznaczności zarówno ludzkich charakterów, jak i struktury świata. Choć jego poezja opisuje i wartościuje rzeczywistość, nie nosi znamion twórczości publicystycznej. Owszem, stawia diagnozy, ale bez apodyktyczności i dydaktyzmu. „Reliefy...” to trzynasta z kolei książka Jana Lechickiego. Przypomnijmy, że mamy do czynienia z bogatą twórczością: poezją, prozą, satyrą, aforystyką, a także książkami popularyzującymi wiedzę medyczną.

Pisałem też Pani, że moje wiersze czytał w Staszowie Janusz Szot. To artysta kilku dziedzin: malarz, grafik, satyryk, były członek zespołu rockowego ERZATZ. Ale i poeta. „Bez sztucznej pozy”, to kolejny zbiór jego wierszy, bardzo subtelnych, nastrojowych, refleksyjnych, spontanicznych. To liryka osobista, jednak uniwersalizowana; wprawdzie inspirowana jednostkowymi przeżyciami, ale w swojej istocie, poprzez uogólnienia, mówi o stanach emocjonalnych człowieka, pomimo niewątpliwych różnic osobowościowych. W potocznym odbiorze są to wiersze proste, komunikatywne, odnoszące się wprost do emocji.

Spotkałem w Staszowie dawno nie widzianą Joannę Babiarz. Poznałm się kiedyś na Galicyjskiej Jesieni Pogórza. I od niej także dostałem tom jej wierszy „Być obok”. To utwory pełne oryginalnych wizji, bardzo „malarskie”, oszczędnie, celnie zmetaforyzowane. Ważnym nurtem tematycznym jest tutaj miłość, ale nie tylko jako zauroczenie lub erotyczna fascynacja. To raczej wiersze o trudnej miłości, o dochodzeniu do jej istoty; o utracie i odradzaniu się uczuć w różnych konfiguracjach. Bardzo Pani te wszystkie tomy polecam.

Muszę dodać, że Joanna Babiarz wraz z Januszem Szotem tworzą zgrany, bardzo oryginalny zespół wokalnie-muzyczny. Janusz jest obdarzony silnym, pięknym i oryginalnym głosem, Joanna akompaniuje mu na skrzypcach. Zawsze ich występ koń-

czył się aplauzem.

A potem pojechałem do Rzeszowa na ogólnopolskie spotkania literacko-artystyczne „Rzeszów w poezji, malarstwie i rzeźbie”, zorganizowane przez Zarząd Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Zaprosił mnie tam Staszek Nyczaj, ponieważ przy okazji chciał urządzić mój jubileusz, czyli to nieszczęsne pięćdziesięciolecie, które upłynęło od mojego debiutu. Aż się wierzyć nie chce!

Po południu odbyła się owa uroczystość. Sala w Wojewódzkim Domu Kultury była wypełniona po brzegi. Na scenie przygotowano dla mnie ozdobny fotel. Siedziałem więc na zaimprovizowanym tronie przypominając sobie powiedzenie ks. Jana Twardowskiego: „najsmutniejszy obraz świata, genitalia jubilata”. Od razu Panią uspokajam, że może jeszcze nie jest aż tak źle, choć pewnie troszkę gorzej niż przed półwieczem...

Czytano laudacje, potem ja odezwałem się krótko, a następnie poeci zgromadzenia na sali mówili swoje wiersze. Byłem ich głównym i najważniejszym słuchaczem. Sam już nie musiałem nic czytać, wsłuchiwałem się w utwory poetów i odpoczywałem, bo upał był piekielny. Akurat trafiłem na ponad trzydziestostopniowe temperatury.

Spotkanie było świetnie zorganizowane przez komisarz pleneru, poetkę Jadwigę Kupiszewską oraz miejscowego rzeźbiarza, Józefa Pałaca. Szerzej o tym napiszę Pani w następnym liście.

Po trzech dniach wróciłem do domu, do powszedniej rzeczywistości, która mnie mierzi. Czytam bieżącą prasę, oglądam portale internetowe. „Głupstwo, wszystko głupstwo” – chciałoby się powtórzyć za Starym Subiektem Rzekim.

Ogarnia mnie nuda, postanowiłem więc nawrócić się na słuszny „trynd”, i przyniosłem do domu pluskwy, karaluchy, pchły, bo to przecież również boskie stworzenia. Chciałem je tresować. Zamiast oryginalnego cyrku mam już cały sufit i podłogę w pluskwach, a karaluchy bezkarnie łążą po ścianach. Dla mnie został tylko skrawek przedpokoju, ale nie wiem czy jeszcze na długo. Bo to przecież jest już ich mieszkanie, a nie moje. Mnożą się na potęgę. Trzeba się będzie usunąć dla dobra żyjątek. Teraz w tajemnicy szukam środka insektobójczego, ale bydłaki tak się uodporniły, że już nic im nie szkodzi. A ja cały w bąblach. Jest przynajmniej wesoło, nareszcie przestałem się nudzić i traktuję to jako przednią (i tylną) zabawę, i z konieczności przechodzę na pluskwizm. Ale tak już na świecie jest. Jedni rzną drzewa (ostatnio wyciąłem wszystkie rośliny doniczkowe, przykład idzie z góry), drudzy hodują robactwo.

I tym „wiekopomnym” spostrzeżeniem kończę dzisiejszy list pozdrawiając Panią serdecznie –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Franku Dolasie, miej się na baczości

XX wiek wymógł na każdej ze sztuk obecność wojny. Kolejne wielkie konflikty międzynarodowe przynosiły za sobą odpowiedzi nieobojętnych na krzywdę ludzką artystów. Wcześniej czy później kino również musiało wziąć się za tę tematykę. Hollywood zrobiło to oczywiście z typową dla siebie swadą. Wykorzystało wojnę jako kolejny pretekst do przedstawienia dobrej, sensacyjnej historii. Wielu twórców starało się skupić na największej tragedii ludzkości. Powstały dzieła wielkie, porażające i trudne do przetrwania, ale powstały i filmy »lekkie, łatwe i przyjemne«. Podobnie stało się i u nas. Obok dzieł wielkich, nakręcono niemato obrazów przygodowych, które nie mają nic wspólnego z historią. Czy to jednak powód, aby dzisiaj – pięćdziesiąt lat po premierze – ponownie zakazać emisji kilku z nich w telewizji publicznej?...

Andrzej Dębowski

Pierwszy raz tak też się stało ponad dziesięć lat temu, kiedy to ówczesny, nowy szef Telewizji Polskiej, Bronisław Wildstein, ogłosił, że TVP nie będzie już emitować „Czterech pancernych i psa” oraz „Stawki większej niż życie”. Dlaczego? Odpowiedź dla dziennikarza-prezesa była prosta: bo oba filmy fałszują prawdę historyczną! Pamiętam wtedy, że do głosu prezesa Wildsteina dołączyły niektóre środowiska kombatanckie i różne organizacje nazywające się patriotycznymi. Po raz kolejny okazało się, jak jeszcze dużo czasu musi upłynąć, nim znaczna część polskiego społeczeństwa zrozumie, że właśnie historii i patriotyzmu nie nauczy się nikogo, tworząc samemu kolejne białe plamy. Teraz próbuje się robić ponownie...

Historia załogi czołgu „Rudy” i psa Szarika biła rekordy popularności od momentu pojawienia się na dużych i małych ekranach. Na niemal

każdym podwórku dzieci bawiły się w „pancernych”, imię Szarik nadawano zarówno owczarkom niemieckim, jak i ratlerkom, a dziewczynki nosiły warkocze a la Marusia. Nie sposób zliczyć, ile osób obejrzało serial w telewizji i na kasetach wideo, ale tylko kinową widownię szacowano na siedem milionów. Ówczesni recenzenci pisali, że obraz ten „zaspokaja u młodych nienasycony głód przygody, tęsknotę za własnym wzorcem bohatera, a przy tym godzi harmonijnie odwieczny kontrast między romantyzmem a codziennością”. Pięćdziesiąt lat później serial, mimo zarzutów fałszu historycznego i komunistycznej propagandy, jest wciąż oglądany przez coraz młodsze pokolenia Polaków.

Film odniósł niebywały sukces, był wielokrotnie wznawiany i bez przesady można powiedzieć, iż wychowało się na nim kilkadziesiąt roczników młodych Polaków naśladowujących postaci z filmu w zabawach na podwórku. Film ten był również intensywnie eksploatowany propagandowo. W szkołach urządzano na jego temat akademie, przedstawienia teatryków szkolnych i omawiano na lekcjach. Zakładano również dla młodzieży »Kluby Pancernych«, w których legenda filmu służyła szkoleniu patriotyczno-obronnemu oraz poznawaniu historii najnowszej. Należy pamiętać, że na sukces filmu złożył się przede wszystkim fakt, iż po raz pierwszy tematyka wojenna została potraktowana lżej niż do tej pory, a serial obfitował w zabawne sceny (obok oczywiście scen poważnych). Publiczność miała już dość ciągłego przedstawiania tematyki wojennej w skrajnie czarnych, pełnych martyrologii barwach. Natomiast od strony prawdy historycznej jest to pozycja czysto rozrywkowa (podobnie jak wiele filmów amerykańskich tego okresu, np. „Złoto dla zuchwałych”, czy „Parszywa dwunastka”), a zarazem propagandowa, pełna jaskrawych przekłamań.

Natomiast wielką siłą filmu była znakomita gra aktorów – nie tylko pierwszoplanowych, ale również całego szeregu odtwórców kreacji w rolach epizodycznych. Jednak dla aktorów grających główne role sukces filmu był jednocześnie porażką – z powodu niezwykle sugestywnych ról, z którymi jeszcze długo ich utożsamiano, na wiele lat zniknęli ze sceny filmowej. Najboleśniej, bo najdłużej, odczuł to Janusz Gajos, odtwórca postaci Janka Kosa. Pomimo zaszufadkowania, młodzi wówczas aktorzy osiągnęli natychmiast szczyty popularności, a ich nazwiska na trwałe weszły do historii kina polskiego.

Jest rok 2017, telewizje cyfrowe i satelitarne oferują mnóstwo najrozmaitszych form rozrywki, tymczasem według badań ulubionym serialem telewizyjnym są w dalszym ciągu „Czterech pancerni i pies”. Ten serial z pewnością nie uczy młodzieży prawdy o II wojnie światowej, tak samo jak „Tom i Jerry” nie uczy prawdy o biologii kotów i myszy. Nie należy jednak z tego powodu rozpaczć – wystarczy po prostu zadbać o to, żeby młodzi widzowie czerpali tę prawdę skądinąd, choćby z książek czy rodzicielskiego komentarza. Już jad propagandy z „Czterech pancernych” już zwietrzał – nikogo już chyba ten serial nie skusi do popierania sojuszu z nieistniejącym państwem. Zostało zaś to, co najlepsze: pierwszej klasy widowisko telewizyjne, jakich dziś się już nie robi – bo się to po prostu nie oplaca.

Podobnie jest z innym bohaterem II wojny światowej i bohaterem wyobraźni milionów Polaków, Hansem Klosem, oficerem polskiego wywiadu, który przeniąka do Abwehy. Działając pod kryptonimem J-23 przekazuje stronie radzieckiej tajne informacje, dzięki którym Niemcy przegrywają wojnę. I tu jest cały problem z tym

filmem! Gdyby te informacje przekazywał Amerykanom, to wszystko byłoby w należytym porządku i byłby bohaterem. Pewnie również pochowano by go na Powązkach, a tak, biedny Hans Kloss, wyleciał z telewizji publicznej. Dlaczego więc próbuje się wyrzucać te filmy na śmietniki historii, kiedy zapotrzebowanie społeczne jest tak duże? Czyż to nie jest czasem strach niektórych osób przed przemożnym działaniem siły społeczeństwa, które pokazuje im ich słabość?

Myślę, że w połowie lat 70. i na początku 80. było zapotrzebowanie na takiego bohatera, jakiego pokazywała „Stawka” czy „Czterech pancerni...”. Bo filmy lat 50. i 60. – m.in. „Pokolenie”, „Kanał”, „Popiół i diament” – ukazywały ludzi przegranych. A seriale przygodowe trafiły więc w zapotrzebowanie na bohatera – człowieka inteligentnego, sprytnego, odważnego... Natomiast dlaczego cieszą się takim zainteresowaniem dziś? Być może dlatego, że są to po prostu dobre seriale! Mają dobre napisane scenariusze, są dobrze wyreżyserowane i zagrała w nich czołówka ówczesnych polskich aktorów, aktorów dobrych do czasów dzisiejszych.

Rzecz ma się też w czym innym. Jakie dziś mamy polskie seriale? Albo pokazujące codzienną rzeczywistość, albo sensacyjne. Te ostatnie przypominają produkcje amerykańskie, pełno w nich brutalności, krwi. „Stawka większa niż życie” nawet jak pokazywała przesłuchiwanie w gestapo, to bez strasznej charakterystyki aktorów. Nawet jak pokazywała śmierć, to bez niepotrzebnych, wielkich plam krwi. Ten serial jest po prostu inny.

A weźmy np. przygodę szeregowca Franka Dolasa z trzydziściowego filmu „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”? 1 września 1939 roku Franek Dolas po dobrej imprezie budzi się w pociągu wiozącym go do jednostki wojskowej. Niestety przespał swoją stację i wysiada gdzieś pod niemiecką granicą. Na widok niemieckiego oficera strzela i tym przypadkowym strzałem „rozpętuje” II wojnę światową. Tak zaczyna się zwiariowana komedia, której akcja rozgrywa się m.in. w obozie jenieckim, w Austrii, Jugosławii, Afryce, na łądzie, morzu i w powietrzu. Franuś swoim „sprytem” doprowadza do szału Niemców, Anglików, Jugosłowian, Włochów, a zwłaszcza spokojnego oficera brytyjskiego, doprowadza do kilku buntów, m.in. w Legii Cudzoziemskiej. W końcu jednak wygrywa rozpętaną przez siebie wojnę i zdobywa śliczną, choć dość energiczną dziewczynę.

Czyż nie są to obrazy przypominające dzisiejsze przygody Polaków, tułających się nieustannie po całym świecie za chlebem? Trud tułaczki wynagradzany jest obecnie dobrymi zarobkami i jakoś nie chce się wracać do ojczystego kraju. Różnica jest tylko taka, że Franek Dolas – choć prymitywny i cwaniaczkowy – starał się do czegoś dojść, marzył całym sercem o powrocie do Ojczyzny, był po prostu patriotą.

Dla pokolenia dzisiejszych czterdziesto- i pięćdziesiątlatków, dla ich synów, w przyszłości zapewne i wnuków, „Czterech pancerni...” – są tym, czym była Sienkiewiczowska „Trylogia” dla ich pradziadów – wpisana w burzliwe historyczne dzieje ilustracją odwiecznego mitu o walce dobra ze złem, miłości z nienawiścią i rozumem z głupotą. Niemal każdy dorosły Polak i Polka ma w życiorysie epizod Franka Dolasa, Janka Kosa, Marusi, być może Hansa Klossa, a niekiedy nawet Szarika. W czasach zamętu i kryzysu wartości przywraca wiarę w proste życiowe zasady, na których wychowała się cała dorosła Polska.

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (18)

(fragmenty)



„Kiedy na drugim roku omawialiśmy funkcjonowanie mechanizmów obronnych i odkrywaliśmy z podziwem potęgę tej części naszej psychiki – zaczęliśmy rozumieć, że gdyby nie istniała racjonalizacja, sublimacja, wyparcie, te wszystkie sztuczki, którymi raczmy samych siebie, gdyby można spojrzeć na świat bez żadnej ochrony, uczciwie i odważnie – pękłoby nam serce” – to już Olga Tokarczuk (cytat z książki „Bieguni”, WL 2007).

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że młody, bezkompromisowo usposobiony człowiek, przysłuchując się tym dywagacjom, mógłby prychnąć gniewnie, bo on nigdy nie zgodzi się na zgniłe uniki, dyplomatyczne kompromisy i ustępstwa. Ale może właśnie na godzeniu się z nimi polega mądrość człowieka brodzącego w smudze cienia?

Religia i religia

„Najbardziej kochałem Wyspy Zielonego Przędka, gdzie w czystych wodach łowiłem ryby – to słowa Zbigniewa Religi – ale mnie tam teraz nie ma i pewnie już nigdy nie będzie. Trudno, tak samo mnie nie będzie tutaj, gdzie najczęściej jestem, i nad Bugiem, i w wielu innych ulubionych i oswojonych przez siebie miejscach. Poza tym nic się nie zmieni w świecie...”

Tak oswajał się ze świadomością zbliżającej się śmierci człowiek, który deklarował otwarcie swoją niewiarę w „łudzenia roztażane przez religie”. Zaimponował mi, że nawet gdy zbliżył się do przepaści i zajrzał w nią – nie wycofał się ze swych pragmatycznych przekonań. Słuchałem wywiadu z nim z dużym napięciem, bo wiedziałem, że słowa te są aktem ryzykanctwa na granicy życia i śmierci. Ta arbitralność jest jednak obca mojej świadomości niejasnego odczuwania naszej dwuznacznej sytuacji na Ziemi. Sytu-

acji mrocznej, zagadkowej, nierozwiązywalnej za życia, chyba że przyjmie się bez strzeżeń dogmaty i hipotezy religii (przeszkadza mi wrodzony sceptycyzm) lub zrezygnuje się z nich, jak to uczynił umierający Religa (co też wydaje się dla mnie za proste, choć śmiałe, bo chyba jednak łatwiej zgromadzić hipotezy na istnienie niż na nieistnienie Boga).

Moja znajoma zakonnica o liberalnych poglądach i gołęmbim sercu skwitowała słowa Religi po swoimemu: czy on chce, czy nie... i tak jest świętym za życia. Jeśli nawet nie wierzył w Boga, to cóż to ma za znaczenie dla Stwórcy, który wierzył w niego widocznie bardzo mocno, skoro powołał tego lekarza kardiologa do ratowania tyłu ludzkich istnień! Religa nie lubił religii, ale był wybrańcem i ma swoje miejsce w niebie. Widzę go unoszonego w górę przez swoje dobre uczynki, a w lustrach tej niebiańskiej windy odbijają się twarze wszystkich pacjentów, którym dał drugie życie...

Strach się bać

Ze strachu przed śmiercią
Można nawet przedwcześnie umrzeć

Uwikłani

Adam Kulik z Lublina, autor arcyciekawej książki o Leśmianie, zdolny prozaik i redaktor telewizyjny, a ponadto – co ważne w naszej znajomości – przyjaciel mojego nieżyjącego już przyjaciela Bogdana Madeja, napisał po przeczytaniu „Przystanku Marzenie”:

Bardzo Ci zazdroszczę dystansu do świata i ludzi. Ja jestem po uszy uwikłany w rzeczywistość, choć wcale tego nie chcę, bo to straszliwie męczy! Być może bierze się ta różnica stąd (pomijając czynniki naturalne, »przyrodzone«), że od razu trafieś w myślące środowisko ludzi sztuki, normalne forum wymiany myśli. Ja po studiach od samego początku musiałem się użerać z ludźmi tzw. kultury w Zamościu, z tak zwanego awansu społecznego, którzy na przykład nie wiedzieli, kto to był Leśmian (...). Męczyłem się tam siedem lat, by trafić do Lublina. A tu jest podobnie, tylko wiedzą, kto to jest Leśmian. Ale cyrk zaścianka, obłudy, drapieżności na każdą złotówkę – kosztem przyzwoitości, nawet wieloletniej przyjaźni – ten sam. A, i jeszcze maniera demonstrowania własnej wielkości – właśnie z racji tej biedy, zaścianka, ze świadomością własnego małego talentu. Dlatego w Lublinie nie ma forum wymiany myśli, jest za to czyściuteńki, wschodni grajdołek.

O tym wschodnim grajdołku, w który uwikłany był tak strasznie Bogdan Madej, przez wiele lat inwigilowany przez bezpiekę, Kulik napisał duży wspomnieniowy esej. Zanalizował w nim mechanizmy owego uwikłania.

Czytam to sobie i rozmyślam, czy rzeczywiście miałem dużo szczęścia, trafiając do Krakowa w okresie, gdy pisali tu: Harasy-

nowicz, Nowak, Śliwiak, a z mojego pokolenia – Ziemanin i Warzecha; Zagajewski, Lipska, Kornhauser i Stabro?... Czy człowiek musi mieć specjalne warunki, żeby wyrosł mu skrzydła i by nie strwonił swojej energii na zaściankowe spory? Zwykle tak, ale przecież bohater książki Kulika – Leśmian – nie poddał się presji zaścianka i pisał swoje kosmiczne wiersze właśnie w zapyziałym Zamościu, gdzie wszyscy, o czym Adam doskonale wie, znali go jako reagenta, nie poetę. Jakoś mu to nie zaszkodziło... Może są to tylko wyjątki od reguły?

Na pewno miałem dużo szczęścia, trafiając do Krakowa (pomijam oczywiście wcześniejsze zawiłości losu i perypetie związane z urodzeniem się w Borzęcinie, a następnie z błąkaniem się po kopalniach górnio- i dolnośląskich), ale również temu szczęściu, jak umiałem, pomagałem, to znaczący potrafiłem się bezinteresownie fascynować Mistrzami, przy czym większość pochodziła nie z Krakowa, lecz raczej z Warszawy...

Kraków mnie długo nie akceptował i drażnił. Może dar wybiórcości przy pewnej dozie abnegacji pomaga; dar wybierania rzeczy dla siebie ważnych, bo dla innych niekoniecznie; arystokratyczny zwyczaj machania ręką na ludzką małość, patrzenia przez palce na małe grzechy własne i innych? Nie wiem... W każdym razie rzecz jest godna zastanowienia. Dlaczego podobne kalibry talentów wzrastają lub karleją w zależności od...?

Co uczyniłby Napoleon w polskiej Pipi-dowie Wyznej? Może byłby tylko wiejskim głupkiem albo najwyżej wójtem?

Śmierć się znowu pomyliła

Zmarł nagle i niespodziewanie 25-letni Janek z rodziny męża mojej bratanicy; prawdopodobną przyczyną śmierci mogła być „cichociemna” sepsa.

Moja 95-letnia mama, która opowiada mi o tym, tak puentuje to tragiczne zdarzenie: „Patrzcie, patrzcie, śmierć się znowu pomyliła i zamiast przyjść do mnie, trafiła do niego”.

Zobojętnienie

Odczuwam od paru dni zobojętnienie. Jakiś chłód serca. Może mi nawet na czymś bardzo zależeć, a po chwili rezygnuję z tego bez żalu. Zauważam też, że szybciej niż dawniej wystyga radość. Kiedyś zdarzały się owocne niespodzianki, zachwyty, zaskoczenia. Teraz mam wrażenie, że wszystko muszę mozołnie wypracować... Dla kogo pisać? I po co? Może to już objawy starzenia się, dlatego moje serce obrasta rutyną i coraz mniej dziwi i zaskakuje? Niedługo zamienię się w automat, w kamień?

Śmierć to całkowite znieruchomienie maszynerii, która wprawia w życie-ruch.

cdn.

Wirująca rzeczywistość poetki

Wirowanie świata, planet gwiazd, komet – to naturalny stan. Człowiek jednak nie odczuwa tych procesów bezpośrednio osaczony siłą grawitacji i przyziemiony. Jednak są takie sytuacje, kiedy ów świat wokół zaczyna się kręcić coraz szybciej względem nas, a wtedy ukazują takie obrazy, które wcześniej uchodziły uwadze postronnego obserwatora. Doświadczenie to budzi emocje, istotne przeżycia egzystencjalne i przypomina o skończoności człowieka, zmuszając podświadomie do dokonywania bilansów osobistych z własnego życia, a w szerszym horyzoncie pogodzenie się z upływem czasu i jego bezzwrotnością. Z takim fenomenem mamy do czynienia w tomiku wierszy autorki **Małgorzaty T. Skwarek-Gałęskiej**, noszącym tytuł „Rzeczywistość”. Wydaje się również, że autorce udało się tu jakoś przekroczyć prawa fizyki światła opisane w efekcie „krążku Newtona”, bo owe zawirowanie świata wokół widzi ona jednak nie szaro, ale kolorowo i na tyle wyraźnie, że może je unaoczniać baczemu czytelnikowi.

Łódzka poetka prowadzi tu coś na kształt wojny słowami ze światem w imieniu ofiar, które nieustannie pochłania rzeczywistość. Przygląda się dawnym bohaterom, na mogiłach których czasami zakwitają kwiaty. Toczy nieustanne boje z natrętnymi myślami, szuka możliwości, by jeszcze raz zacząć wszystko od nowa. Przygląda się wirującym wokół niej formom życia spadającym w dół. Zastanawia się czy jest dobrą matką, postrzega własne złudzenia, ale i światy alternatywne stające się dla niej nieosiągalne. Rzeczywistość wirująca wokół poetki pędzi koło niej jako ekspres mknący ku przyszłości, któremu towarzyszy „symfonia wiatru” grana na jej nerwach. Podnosi on całą chmarę wierszy, które poetka wyławiała z tej zawieruchy i skrzętnie zapisuje. Dobrze dyskurs tej poezji oddaje utwór pt. „ekspres”, w którym czytamy: *nadają / myślom słowa / jak imiona / hołubionym dzieciom / jak nazwy marzeniom / nie rozdieram szat / historii / nie wyrwam kamieni / spod szyn / po których mknie / ekspres do jutra / to tylko próby // smakuje brzmienie / nerwu szarpanego wiatrem.*

Technika tworzenia takich wierszy nawiązuje żywcem do metody impresjonistów, którzy z pierwotnych impresji świata budowali nowe, artystyczne całości. Autorka próbuje również sformułować „imperatyw poety”, w oparciu o który mimochodem powstają jej utwory i w tym celu stara się dokonać wiwisekcji „ciała wiersza”. Porównuje owo ciało do „bańki mydlanej”, leżącej i pękającej nad kwiatami. To doświadczenie przesuwając uwagę poetki na kobietę, która ze swej natury całe życie oscyluje pomiędzy grzechem i zbawieniem, a w jej przypadku prowadzi do dekonstrukcji emocjonalnej,

zakwitającej w konsekwencji kwiatem „dzikiej róży”. Skupia się nad pustą przestrzenią i poznaje tam smak lęku oraz samotności, którym równocześnie towarzyszy oliwkowy zapach ciała odsyłający w kosmiczne przestrzenie. Takie doświadczenie staje się często źródłem drastycznego przeżycia, które może nawet zabić duszę poetki. W wierszu pt. „urwana droga” dowiadujemy się, że: *Puste pokoje / w tobie – ty w każdym / sen trzymany na smyczy rurek / rozrasta się / zagarnia kolejne jutra / (...) / samotna ciemność / pragnienie światła / pozostaje skoczyć / z urwanej nagle drogi / zerwane więzi lęku.*

W środkowej partii tomiku autorka zamieszcza kilka wierszy z cyklu „Doniesienia prasowe”, w których w formie narracji poetyckiej komentuje sensacyjne informacje z mediów, nadając im często charakter bajeczny, ale i drastyczny. W utworze pt. „tak dziwnie” możemy przeczytać: *jakby ziemia obracała się w drugą stronę / jakby dwie minuty na minutę / jakby biel składała się z czarnych płamek / tak dziwnie / cicho w liściach / nie chwieją się światła / nie śpiewa we mnie wieczór / czekam na wiatr.*

Utwór ten poprzedza cytata o „źródle wiatru” zaczerpnięty z „Ducha maszyny” Stanisława Lema, przywołującego pracę świadomości do działania właśnie wiatru, co może wskazywać, że owo „wirowanie rzeczywistości” w utworach autorki ma swoją przyczynę w obcowaniu z współczesnymi mediami, podkreślającymi tempo istnienia naszego świata, przyspieszone ruchy intencjonalności świadomości, łamiące zasady dotychczasowego upływu czasu, a właściwie powodujące jego implozję, w wyniku czego istniejemy jednocześnie jakby w kilku światach równoległych naraz. Stajemy jakby w sytuacji autorki „Księgi Rodzaju”, który zadaje wiele pytań, zaś na odpowiedzi na nie nie ma żadnego czasu, choć przesadzają ich sens jej treści swym przymusem symbolicznym o swojej prawdziwie w zawartych tam sentencjach, w które wierzymy wbrew rozumowi. Człowiek bowiem – konkluduje autorka w innym utworze – to gatunek ciągle wędrujący i ewoluujący, poruszający się na mechanizmie maszynierii DNA. Dla poetów życie w takim świecie, wysiłek twórczy jest równy bezpowrotnemu nieistnieniu, choć mogą być szczęśliwi, kiedy rozpraszają się pomiędzy wersami swoich wierszy na wieczność w świecie, który nieustannie ulega spopieleniu. W wierszu pt. „w popielniku” poetka tak oto kreśli wizję egzystowania poety: *dwa kroki w jedną / dwa w drugą / żaden postęp / wahał się rozczyna minuty / na drobne / do posypania głowy / (...) / cudze puste papierki / kolekcja złudzeń / wypadająca przez dziurawe // kieszenie / strach zapinany / na obgryzione do krwi / guziki // pilnuje / by warczącej za oknem / rzeczywistości / nie nadeprnąć na odcisk / może ugryźć.*

Świat bowiem Skwarek-Gałęskiej ma charakter *stricte* wariabilistyczny, rządzący się bezwzględny mechanizmami sprzeczności dialektycznych, które nie mają żadnego sumienia, a jedynie prą do przodu. Sądzi przy tym, że i poeta podejmując się trudu tworzenia winien to zrozumieć.

Dramat współczesnego świata sięga głę-

boko wewnątrz duszy poetki, a liryka codzienności skierowuje ją ku oknom ukazującym życie za szybami, po których spływają „krople deszczu” pomagające walczyć ze złudzeniami ukazującymi się każdego dnia. Widać jak świat w ciszy napełnia się nutami grającymi symfonię codzienności, stając się „glinianą misą”, w której wyrasta wierzbą wijąca gniazdo dla jesieni. To refleksyjne doświadczenie zwraca poetkę ku pamięci o ojcu, prowadzi ją po ulicach i zakamarkach Łodzi, a następnie popycha do przodu – ku jutru. W wierszu pt. „opowieść o glinianej misie” możemy przeczytać: *(...) garść dni szybko znika / w styczności z powietrzem / lustro codzienności nie pomaga // kroję chleb / sypią się nowe pytania / do wspólnej / misy z gliny / – niczyja i wszystkich / ciągle obracana na kole / zmieniająca kształt / tłuczona i sklejana.*

Świat bowiem ukazuje się autorce jako nagromadzenie codziennej rutyny, pod powierzchnią której działa logika konieczności popychana mechanizmami strachu i upojenia. Czasem, kiedy z jej elementu nieopatrznie wyciągniemy zawleczkę, może wybuchnąć jak granat. W takim właśnie świecie żyje i tworzy poetka, a swą twórczość postrzega jak „ciężki oddech”, którym przerywa rutynę codzienności. To, co jej ciągle towarzyszy – to pochodny i procesję słów, z których nieustannie tworzy wiersze. Osobiste doświadczenie pisarskie tak oto przedstawia w utworze zamykającym tomik pt. „konieczność”: *ubrana w niebo / nanizuję krople świata / na pajęczynie // niebo jak dzianina / skrócona na sumieniu / dopasowana do retoryki // wróżę z oczu / napotkanych aniołów // (...) / w żyłach gęstnieje ropa / dostrzegam ciężkie brzegi szat / zachłapanie złotem // ubrana w niebo / tracę oddech.*

Nie trudno zauważyć, że poetka z miasta, gdzie Władysław Reymont ujrzał i opisał „Ziemię Obiecana”, zaś Julian Tuwim doszłifował „Bal w operze”, w pewnym sensie swym talentem poetyckim kontynuuje tę tradycję kultury literackiej, ukazując z tego miejsca świat w jego współczesnych wymiarach, jako wirującą rzeczywistość, która często może przerazić, ale i zafascynować człowieka. Robi to jako kobieta bardzo drobniawo, a więc czytelnik może zostać nawet oczarowany i uwiedzony taką wizją artystyczną.

prof. Ignacy S. Fiut

Małgorzata Skwarek-Gałęska, „Rzeczywistość”, Wydawnictwo EXALL, Łódź 2016, s. 92.



Poezja w podróży Waldemara Hładkiego

Autora tomu wierszy „W podróży”, **Waldemara Hładkiego**, poznałam na 45. Warszawskiej Jesieni Poezji. Mieliśmy przyjemność czytać swoje wiersze w praskiej Galerii „Szuflada” na spotkaniu autorskim zorganizowanym przez Warszawski Oddział Związku Literatów Polskich. Stąd ze szczególniejszą uwagą przeczytałam poetycki zbiór, który mi ofiarował. Już sam tytuł sugeruje, że są to wiersze, które rejestrują i utralają wrażenia z odbytych przez Autora licznych i niezwykłych podróży po świecie. Nowa Zelandia, Australia, Chile, Argentyna, Urugwaj, Tanzania, Kenia to tylko kilka z 50. zwiedzonych przez poetę krajów, którym poświęcił wiersze w tomie.

Zafascynowany inną kulturą, przyrodą i egzotyczną architekturą krajobrazów poeta w sposób lapidarny i plastyczny zamknął ich piękno w mowie związanej. Łatwiej jest, co Waldemar Hładki znakomicie potrafi, opowiadać na żywo o zwiedzanych krajach, niż skondensować doznania czy zmetaforizować refleksję w krótkim utworze poetyckim. Ale i tutaj poeta-podróżnik sobie świetnie radzi. Nie ulega współczesnym reporterskim czy publicystycznym modom, buduje wiersz przejrzysty, nie przemetaforizowany, dbając o jego formę i treść. Posiada Waldemar Hładki – lekarz z profesji – umiejętność precyzyjnego percypowania, dar obserwacji, jak również zdolność do przemyśleń metafizycznych.

Dopieszczony edytorsko tom (Wydawnictwo Miniatura) zawiera 33 utwory i tyleż samo fotografii, bo poeta dostarcza czytelnikowi szerszego spektrum emocji: słowo i adekwatne do niego zdjęcie, ilustrujące miejsce inspiracji twórczej. I właśnie ta precyzyjna, słowno-wizualna kompilacja ubogaca zbiór, oddaje klimat samotnej wędrówki poety po odległych i rzadko przez nas zwiedzanych krajach, kontynentach.

Podróż odgrywa w jego zabieganym zawodowo życiu bardzo ważną rolę. Waldemar Hładki w odautorskim słowie do tomu pisze: *Nasze życie to ciągłe podróżowanie, już od urodzenia rozpoczynamy naszą podróż przez życie aż do jego kresu w ziemskim wymiarze. Podróżujemy do miejsc bliskich i ważnych dla nas samych i do miejsc dalekich, odległych krajów, zachodów i wschodów słońca, księżycy po drugiej stronie świata...*

To tylko fragment pięknie i poetycko sformułowanej wypowiedzi na temat roli podróży dosłownej i symbolicznej w życiu człowieka.

Ale zajrzyjmy wreszcie do samych utworów. Tom otwierają wiersze z Afryki. Zwiedzając w 2009 roku Narodowy Rezerwat

Masaimara w Kenii tak oto malowniczo opisuje idącą po wodę Masajkę:

*ostrzy pazur pragnienia
rozdziiera zaschłe gardło
tańczący pył wpatrzony w oczy
przytula się do powiek
codziennie idzie daleko
po dwadzieścia litrów życia
kołysząc kwiecistymi biodrami*

W kolejnym wierszu przedstawia obraz budzącego się dnia w Narodowym Parku Serengeti:

*szafirowe niebo
jaśnieje poranną zorzą
bezkresna równina
przeciera zaspane oczy
wyruszają na swoje safari
upolować soczystą trawę
zjeść ciepły posiłek
z rozgrzanej biegiem gazeli
tylko na czarnej akacji
jeszcze śpią czarne marabuty*

(„Serengeti”)

Te uchwycone na żywo afrykańskie obrazki – migawki poetyckie, działają na wyobraźnię czytelnika: daje się odczuć smak spiekoty, walki żywych istot o przetrwanie. Ale Autor nie tylko takie sceny utrwała na kartach książki. Pomiędzy krwawą walką o byt, zaborczością Oceanu, dostrzega w przyrodzie ciszę i różne odcienie jej uroków, choćby przytoczyć subtelny cytat z wiersza „Ngorongoro”: *różowa mgła flamingów / odbija się echem / słodkiego kremu*, czy też w opisie Medyny: *pułdowane obrusy / płąsają na wietrze / w rytmie gwarnej Medyny (...)* w ogrodach Sewilli / kwiaty sphywają / kamiennym murem / wypęłzają w nieznanie / z piaskowych donic (...) w zapomnianym zaułku / przemyka cisza / słodkim dymem / rozpalonej sziszy”.

Interesujące są kolejne wiersze z Nowej Zelandii, chociażby ten, noszący tytuł „Jak ptak”, który jest jakby wykładnią całej twórczości Waldemara Hładkiego:

*marząc pod drzewem jabłoni
zostać owocem pana Newtona
ptakiem na mgnienie
spadać z siłą marzenia
do ziemi stojącej na głowie
pełną na spotkanie
rozpruć przerażony wiatr
potem ostudzić
warkocz komety strachu
dotykem płynącej rzeki*

Poeta, co trzeba dodać, napisał go po odbyciu na bungy skoku z mostu na rzece Kawarau. Zresztą, pozostałe liryki z Nowej Zelandii są również interesujące i warto się przy nich zatrzymać.

Czytelnika porwie jednak kolejny cykl utworów z Sydney, upamiętniających przeżycia na schodach przed operą czy w Hyde Parku.

W jednym z nich, zatytułowanym „Uluru”, uwiecznia spotkanie autorskie, jakie odbył 30 listopada 2010 roku pod skalnymi

galeriami świętej góry Uluru w Australii:

*mój głos czyta wiersz
pod skalnym
balkonem Uluru
święte freski
malują metaforę
pochylny grzbiet
starego Aborygena
zanurza dłonie
w czerwonej ziemi
czerpie czas snu
didgerido noszą
brzmienie duchów
po australijskim buszu*

Waldemar Hładki wszystkie dalekie podróże odbywa w „samotności”. Zabiera ze sobą tylko niezbędny sprzęt: aparat fotograficzny, kamerę i sporządzone wcześniej notatki. Ma wtedy czas na skupienie, pełnię przeżyć i zapis emocji po intensywnie spędzonym dniu. Napisze w jednym z australijskich wierszy: *obok mnie usiadła samotność / przytuliła cicho / milczy o tym co było*. I w następnym, napisanym w San Pedro de Atacama w Chile: *pustynny pył / zamieszkał ze mną / w małym pueblo / u Świętego Piotra / z Atacamy...*

Obcowanie poety z egzotyczną przyrodą i kulturą śródziemnomorską, rodzi w nim wiele metafizycznych rozważań. I tym w swoich lirycznych wierszach dzieli się z odbiorcą, dając mu możliwość, poprzez wysmakowane, wiernie oddane i czytelne opisy, współudziału w fascynacji światem, zapraszając jednocześnie do szeroko pojętej podróży. Bo – posłużę się jeszcze słowami Autora: *Podróżujemy w prozie życia, a czasami w poezji odkrycia i poznania. Zdążamy do wnętrza siebie, w zamyśleniu, refleksji* (Od autora).

Właśnie. Taką autentyczną podróż w głąb siebie krakowski poeta, notabene, prof. dr hab. n. med. Waldemar Hładki odbył podczas jednego z obchodów szpitalnych. Podróż, która mnie osobiście ogromnie wzruszyła:

*młoda gałąź
obsypana kwiatem
zagląda przez okno
w szpitalną ciszę
na poduszce
leży głowa
bez kształtu
okaleczona z połowy myśli
spogląda w pusty
ekran sufitu
na zimnej ramie łóżka
bije nadzieją
papierowe serce
z dziecięcym napisem
kocham cię, tato*

(„Kocham cię, tato”)

Nie jest to jedyna podróż wewnętrzna. Poeta, wracając z pogrzebu kogoś bliskiego, napisze w wierszu „Nic się nie zmieni”:

*kiedy wylączą prąd
w moich zwojach
oczy nie poczują*

smaku światła
ból zapomni o bólu
zatrzymani chwilę smutku
powrócą szybko
do tramwaju życia
otuleni szalem
własnych myśli
znowu obudzi się świat
dzwony u św. Anny
poruszają serca
liście porzucą drzewa
śniegi zamalują
jesienną szarość
potem szara magnolia
odżyje różowymi gwiazdami
ptaki zbudują w ogrodzie
wiosenne gniazdo
nic się nie zmieni

I takie właśnie różnorakie wędrówki na kartach tej książki poetyckiej prezes Unii Polskich Pisarzy Lekarzy – Waldemar Hładki odbywa. Aż się chce towarzyszyć mu w niezwykłych 33. wyprawach. Do czego też serdecznie czytelników ze swojej strony zachęcam.

Irena Kaczmarczyk

Waldemar Andrzej Hładki, „W podróży”. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2013, s. 72.

Istnienie człowieka w XXI wieku według profesor Marii Szyszkowskiej

W bieżącym roku nakładem Kresowej Agencji Wydawniczej ukazała się kolejna książka prof. Marii Szyszkowskiej pt. *Istnienie w XXI wieku*. Autorka ma w swym dorobku naukowym już ponad 40 książek i przeszło 100 książek zbiorowych, których jest współautorką. Publikacje te dotyczą przede wszystkim filozofii codzienności, filozofii człowieka, filozofii prawa, filozofii kultury. Wiele uwagi poświęca w nich głównie człowiekowi we współczesnym świecie.

W książce zawarte są drogowskazy o powszechnym znaczeniu, które mogą być przyjęte przez każdego po to, by istnieć w sposób przynoszący poczucie sensu, bowiem w XXI wieku istnieje się w sposób szczególny, na co ma wpływ rozkwit cywilizacji, a

zwłaszcza środków łączności. Temu rozkwitowi cywilizacji potęgującemu niebezpiecznie skłonność człowieka do wygody, towarzyszy niepokojące w skutkach niszczenie przyrody, bieda, terroryzm, nieznanne w swym rozmiarze ruchy migracyjne itp. A ponadto towarzyszy temu funkcjonowanie niskich wartości, upadek poziomu edukacji oraz propaganda mącząca świadomość człowieka.

Przedstawiła swoje myśli i odczucia w 27. krótkich rozdziałach, których tytuły sygnalizują ich problematykę, np.: *Manipulowanie słowami, Istnieć ze względu na siebie, Zdradzanie siebie, Neoliberalizm gospodarczy jako źródło zagrożenia, Neokantyzm jako przeciwwaga dla neoliberalizmu ekonomicznego, Filozofia w edukacji, Potęga człowieka, Eutanazja, Prawicowość a lewicowość, Wybrane teorie socjalizmu*.

W rozdziale *Manipulowanie słowami* zastanawia się nad słowem... dobro, pisząc: *Używając nazwy „dobre” na określenie tego, co jest sprawiedliwością, pięknem, uogólniając, wartością pozytywną, stajemy się moralistami. Stajemy się osobami rozciągającymi w sposób nieuprawniony wartość dobra na inne płaszczyzny życia człowieka niż sfera moralności. Być może określając kogoś jako „dobrego człowieka” powinniśmy byli powiedzieć na przykład „życzliwy człowiek”.*

Nadawanie socjalizmowi znaczenia pejoratywnego skłoniło prof. Marię Szyszkowską do napisania o lewicowości i socjalizmie. Nie wiąże socjalizmu z instytucjami demokratycznymi. Stwierdza, że nie jest prawdą, że przeminął czas wielkich idei. Tylko że niektóre z nich były dotąd urzeczywistniane niezbyt udolnie, ale z tego powodu nie wolno podważać ich wartości. Autorka ubolewa, że współcześnie w Polsce zaszczepiana jest wrogość do nurtów lewicowych, w tym do socjalizmu. Zmarginalizowana jest na przykład rola PPS, która konsekwentnie i odważnie głosi wartość socjalizmu. Maria Szyszkowska zwraca uwagę na to, że wartość socjalizmu głosił w artykułach publikowanych w „Trybunie Ludów” Adam Mickiewicz. Jeszcze inną koncepcję socjalizmu sformułował Edward Abramowski – mistrz Stefana Żeromskiego. Występuje on imienne w „Przedwiośniu”. Autorka książki rozwija socjalizm, którego inspiracją jest filozofia Kanta.

W ostatnim ćwierćwieczu w naszym kraju człowiek lewicy jest przedstawiany w niekorzystnym świetle. Wrogość do lewicy po roku 1989 jest podsycana nieustannie. Wprawdzie osiągnięcia gospodarcze i społeczne tych czasów są niewątpliwe, ale zarzucana czasom PRL ideologizacja nauczania i życia dziś również jest wyraźna, choć ideologia jest inna. Utożsamianie socjalizmu – zdaniem prof. Marii Szyszkowskiej – jedynie z marksizmem jest przejawem propagandy niektórych środowisk politycznych i zarazem dowodem braku ich wiedzy w tym zakresie.

Kontrowersje wzbudzi zapewne rozdział *Zdradzanie siebie*. Prof. Maria Szyszkowska pisze między innymi: *Otóż powszechnie funkcjonuje w rozmowach stwierdzenie, że ktoś kogoś zdradza. Nie słyszy się natomiast*

ubolewania z tego powodu, że ktoś zdradził siebie. Zdradę w miłości rozpatruje się błędnie w relacji do kogoś. Będąc wiernym wobec kogoś, zdradza się niejednokrotnie swoje uczucia, namiętności, które wzbudza w nas ktoś inny. Przechodząc obok kogoś, kto obudził w nas uczucie miłości, przemilczając własne stany uczuciowe, zdradzamy siebie.

Uważam, że ten rozdział skłania do refleksji i pozwala spojrzeć z innej perspektywy na własne życie.

Autorka stwierdza, że „jesteśmy wychowywani od pokoleń w złudnym poczuciu wiecznotrwałości uczuć do drugiego człowieka”, a przecież miłość jednak przemija. Pyta więc – dlaczego okaleczamy siebie, podejmując decyzję wyrzeczenia się nowej miłości? I dalej pisze, że „przysięga małżeńska jest tą, której dotrzymać w całości niepodobna”. Czy ktoś „jest winny temu, że zakochał się w kimś innym niż w osobie, z którą zawarło się ślub?”

Zdrada samego siebie „może zachodzić nie tylko na płaszczyźnie uczuć, lecz także kwestii światopoglądowych; zdrady polityczne, to wyraz zdrad w obszarze światopoglądowym”. Zdradzamy też siebie, wypierając się własnych poglądów. Konformizm i oportunizm to ilustracja owej zdrady. Degradują one człowieka.

Stan uczucia, jakim jest miłość, w wielu wypadkach należałoby określić „jako przyzwyczajenie, przywiązanie, braterstwo, sympatia”. Autorka zauważa, że od dzieciństwa uczy się nas, by „kochać na przykład przedstawicieli swojej rodziny, że trzeba kochać męża czy żonę i w rezultacie używamy wzniosłych określeń na stan uczuć odległy od intensywności”. Nasze słownictwo nie oddaje w pełni bogactwa odczuć, uczuć i wielorakości odcieni nastrojów.

Kończącą część książki stanowi wywiad przeprowadzony przez redaktora Stanisława Stanika z prof. Marią Szyszkowską. Wywiad pt. *Obejmowanie życia* stanowi pewną nowość, gdyż nieczęsto się zdarza, by w tej formie – niezależnie od noty biograficznej na okładce – przybliżyć czytelnikom informacje o autorze książki. Zawiera on cenne informacje na temat roli kulturotwórczej Stowarzyszenia PAX w czasach PRL. Autorka z przykrością konstatuje, że wielu wybitnych pisarzy zawdzięczających swój debiut i możliwość publikowania PAX-owi wypiera się po latach związków z tym Stowarzyszeniem.

W książce rysunki Jana Stępnia (*nota bene* męża prof. M. Szyszkowskiej) – poety, prozaika, autora sztuk scenicznych, rysownika charakterystycznych ludzików – nie są li tylko ozdobnikami. Trzeba im się z uwagą przyjrzeć.

Zachęcam Czytelników do zainteresowania się tą książką. Nazwisko Autorki gwarantuje wartość publikacji.

Tadeusz Stolarski



Błyski



Tańcząca z Ziemią. O „Szamance” Justyny Koronkiewicz

Ten efektownie wydany zbiór poetycki, z wyczuciem łączący malarskość słowa Justyny Koronkiewicz z klimatyczną ezoteryką obrazów Moniki Worsztynowicz został zauważony przez kapitułę Lubuskiego Wawrzynu Literackiego i nagrodzony Srebrnym Sokolim Piórem za debiut literacki. Autorka ułożyła swoje wiersze w logiczny, dopełniający się cykl, a jego bohaterką uczyniła kobietę świętą, mieszkankę pustkowiec wtopioną w naturę i celebrującą fenomen życia.

Anna Dominiak

Mówiąc o bohaterce tomu Justyny Koronkiewicz, trudno oprzeć się pokusie utożsamienia jej z autorką (mimo że w opowiedzianej tu historii poetka nie używa narracji pierwszoosobowej). Nieczęsto można bowiem dostrzec taką spójność pomiędzy życiem autora (mam tu na myśli coś więcej niż wizerunek) a przesłaniem zawartym w jego dziele. W przypadku Szamanki – Justyny Koronkiewicz możemy mówić o zjawisku pełnej identyfikacji. Zresztą ona sama, Justyna, jest zjawiskiem. Szamanka to dziewczyna ciepła, otwarta i pomimo zewnętrznej ekscentryczności, bardzo bliska. Zaskarbia sobie sympatię tych, którzy ją spotykają i szybko zjednuje przyjaciół. Istnieje w niej jakaś magia powodująca, że staje się jak siostra już od pierwszego podania ręki.

W swoim debiutanckim zbiorze objawia symbiozę ze światem i afirmatywny stosunek do wszystkiego, co istnieje.

Można ten tom nazwać poematem sławiącym naturę, w którym Justyna Koronkiewicz daje prymat odczuciu zmysłowemu. Ta opowieść płynie jakby wypowiedziana była w szamańskim transie. Jednak do opisu swoich mistycznych przeżyć nie używa języka, który budowałaby barierę pomiędzy jej szamańskim „ja” a resztą świata.

Nie zamyka się w pustelni słów. Jasność leksykalna, przejrzystość składni sprawiają, że odczytanie mistycznego sensu zawartego w zbiorze nie jest sprawą wymagającą wysiłku. Niepotrzebne tu zdolności mistyczne. Tym językiem zaprasza odbiorcę do swojej barwnej przestrzeni, skrzęcej rajsłimi jak okładka tomu barwami, w której wcale nierzadko rozbłyskują zaskakujące metafory.

Narrację rozpoczyna wiersz „Sen”, zapis historii wrastania w wybrane miejsce, do którego przywiodły Szamankę zmysły. To tu, w sercu gęstego lasu ulokowała swoje życie i rozpałała poetyckie widowisko z dźwięków i barw. Jej egzystencja łączy przeżycia ekstatyczne, które zawdzięcza życiodajnej sile natury, z cierpieniem wpisanym w los tych, których spotyka w swoim świecie. Obdarzona nadprzyrodzoną mocą, dysponująca darem jasnowidzenia i uzdrawiania, zawieszona nad czasem albo raczej tkwiąca w bezczasie, odwiecznie spleciona z ziemią „szamanka rozpuszcza warokcz spleciony z różnych czasów”. Zjednoczona z żywiołami podlega transformacjom, wchodzi w mistyczny kontakt z mocami z innych światów, skanduje rytualne zawołania w nieznanym śmiertelnikom języku i porozumiewa się ze zwierzętami, ucząc się od nich prawdziwego odczuwania. Z tego odczuwania czerpie swoją mądrość. Wierzy ponadto w uzdrawiającą moc ognia, moc tańca, przyjmuje znaki kreślone na skórze przez niewidzialne, krążące po lesie duchy. Samoświadomość uzyskuje poprzez iluminację, przeżycie zjednoczenia z substancją ziemi. Opisując swoją istotę, odnosi się do kategorii czasu i przestrzeni, mając przekonanie o ich względności, mówi o sobie jako kobiecie z „teraz” i kobiecie z „innego jutra”. Stan, w którym istnieje, jest jej wyborem. „Kiedyś rodziła dzieci, kochała, teraz jest po prostu szamanką, odeszła od siebie w związek z innym rodzajem odczuwania” – deklaruje w wierszu „Tożsamość”. Swój czas odmierza wzrostem włosów, które zbliżają się do ziemi, by zapaść w niej korzenie. Wtedy Szamanka umrze: „zostało jej nieco ponad pięćdziesiąt centymetrów życia” – to jedna z piękniejszych metafor. Jest panią świata, do którego przybywają ci, którzy szukają ciszy, stanowi dla nich drogowskaz i cel jednocześnie.

Przestrzeń, którą widzi i opowiada, zakorzeniona jest od wieków w kościach

przodków. Szamańskie atrybuty przeplatają się tu z symboliką drzewa. Życie bohaterki tomu Koronkiewicz podporządkowane jest rytmowi natury, dlatego może w „Modlitwie Szamanki” odnaleźć można tony błogosławiące matkę-ziemię jakby z „Pieśni słonecznej” św. Franciszka. Szamanka służy ludziom, oświeca ich. Jej kontakt z ziemią jest nie tylko mistyczny, to także obcowanie zmysłowe. Bohaterka pozostaje często w stanie ekstatycznego rozmodlenia, jednoczenia się z wszechświatem. Choć płynący czas zaznacza się bruzdami na jej twarzy, bohaterka dzięki jego działaniu pięknieje wewnątrz.

Tom Koronkiewicz przepiękny jest niesłuchanie plastycznymi obrazami pokazującymi bohaterkę w jej codzienności i należy się zgodzić z autorem posłowania, Leszkiem Jazownikiem, który podkreślając walory kompozycyjne tomu, zauważa, że każdy z wierszy jest „odrębnym, miniaturowym portretem bohaterki lirycznej”. Można dodać, że teksty przedstawiają ją podczas pełnienia różnych szamańskich ról, a ta charakterystyka rozwija się, by w efekcie dać pełny i bardzo spójny obraz postaci.

Podczas lektury tomu trudno oprzeć się jeszcze jednemu wrażeniu – że zachowuje on wiele cech podobieństwa z prozą Olgi Tokarczuk, jej mityczną aurą i specyficznym kreowaniem przestrzeni. Zaznacza się tu także silnie motyw tańca, rytmu, melodii, stanowiących dodatkowy walor tej wyśpiewanej na cześć życia pieśni, którą Justyna Koronkiewicz wabi nas na swój magiczny „koniec świata”.



Justyna Koronkiewicz, *Szamanka*. Redakcja serii i tomu: Łucja Dudzińska. Ilustracje na okładce i w tomie: Monika Worsztynowicz. Portret autorki: Renata Brzozowska. Korekta: Agnieszka Repczyńska. Tom XI z serii Poezja / Na Krechę. Wydawca: Grupa Literyczna Na Krechę, Poznań 2016, s. 56.

Filozofia codziennosci (130)



Dynamiczne teorie prawa natury głoszą, że ma ono treść rozwijającą się. Znaczy to, że niezmienna treść bywa w odmiennych warunkach różnie interpretowana. Z reguły nadają temu prawu charakter prawa moralnego. Źródłem prawa natury według teorii dynamicznych jest godność człowieka. Dynamiczne teorie prawa natury wprowadzają element relatywizmu wskazując, że w rozmaitych odmiennych okolicznościach, w tym kulturowych, dobro jest odmiennie interpretowane. Ostrą krytykę relatywizmu głoszą zwolennicy tradycyjnych teorii prawa natury. Relatywizm – pora tu wyjaśnić – jest to pogląd według którego pojmowanie wartości ulega zmianom zależnie od miejsca i czasu. Oczywiście faktem jest, na przykład, zależność wartości dobra, sprawiedliwości, wolności od kultury w której człowiek żyje.

Wybitnym rzecznikiem dynamicznych teorii prawa natury był w Polsce profesor Czesław Strzeszewski. W książce „Ewolucja katolickiej nauki społecznej” potwierdza, że właściwością natury człowieka jest potencjalność, a więc możliwość rozwoju a nie niezmiennosc. Czyli zdaniem tego tomisty w teoriach chrześcijańskich tkwiło zawsze pojęcie rozwojowości prawa natury; nie było ono nigdy pojmowane jako bezwzględnie statyczne, mimo tak sformułowanych stwierdzeń. Prawo natury nie zmienia się lecz podlega rozwojowi. Jak wyjaśnia ten uczony, nie zmienia się, bo gdyby się zmieniało w swej najgłębszej istocie, to znaczy, że mogłoby przestać być tym, czym było i stać się czymś innym – a wtedy pojęcie natury człowieka straciłoby sens. A więc prawo natury jest niezmiennie i równocześnie rozwijające się. Przede wszystkim dzięki Strzeszewskiemu dorobek polskich tomistów nie ma charakteru receptywnego w stosunku do myśli innych krajów.

Zdarza się, że krytycy teorii prawa natury odrzucają istnienie tego prawa znając zaledwie jedną z teorii prawa natury. Być może poznając inne teorie stałyby się zwolennikami prawa natury. Niezależnie od rozbieżności w sposobie pojmowania prawa natury, jego teorie wskazują na wartość człowieczeństwa, głoszą ideę braterstwa.

W świetle dynamicznych teorii prawa natury, człowiek podlega ewolucji. Godność jako źródło tak pojętego prawa natury jest traktowana jako niezbywalna i powszechna. Z niej wypływa zestaw uprawnień, czyli praw czło-

wieka. Za sprawą dokumentów międzynarodowych, które odwołują się do godności człowieka nabrała ona znaczenia ponadustawowego. Niektórzy wyodrębniają godność osobowościową, która jest nabywana i można ją w sobie rozwijać. W każdym razie godność człowieka dochodzi do głosu przede wszystkim w relacji człowiek-państwo. Godność mieści się w odpowiedzi na pytanie kim jest człowiek, ponieważ wiąże się tylko i wyłącznie z naszą naturą. Przyjmuje się obecnie, że z niej wypływa zestaw uprawnień, inaczej praw człowieka. W naszych czasach stają się legalne przewroty polityczne, odwołujące się do niespektrowanych praw człowieka. Przyjmuje się powszechnie, że godność jest człowiekowi wrodzona.

Teorie prawnonaturalne bywają interpretowane jako rodzaj ideologii, ponieważ na ich podstawie niektórzy formułują programy polityczne i społeczno-ekonomiczne. Wiąże się z wizjami sprawiedliwego ustroju społecznego.

Konsekwencją pojmowania człowieka jako części ludzkości i zarazem konsekwencją teorii prawa natury wydawałoby się, że powinien być postulat trwałego pokoju. Przyznając tak wysoką rangę człowiekowi i jego godności – żadnej wojny nie powinno się usprawiedliwiać. Jest interesujące i niewytłumaczalne, że z teorii prawnonaturalnych wynika, na przykład, nakaz czynienia dobra i zarazem zgoda na udział w tzw. wojnach sprawiedliwych, których teorie rozwinął św. Augustyn.

Zaniechania wojen domagają się z reguły ci myśliciele, którzy nie ulegają mitowi społecznej natury człowieka. Zatroškani tkwiąc w nas agresją, szukając sposobów jej zmniejszenia, żądają, na przykład, uprawiania sportu aż do ryzyka śmierci, czy powołania katedr uniwersyteckich krzewiących tę ideę.

Pacyfizmowi nie należy nadawać charakteru moralnego, ponieważ pogląd ten leży poza kategoriami dobra i zła; jego uzasadnieniem nie jest określona koncepcja moralna, lecz uznanie bezwzględnej wartości życia, a zatem i zdrowia człowieka. Pozbawiona jest sensu znana rzymska maksyma: jeśli pragniesz pokoju, gotuj się na wojnę, bowiem tą drogą nigdy nie osiągnie się zaprzestania zbrojeń prowadzących nieuchronnie do wojen. Są one zresztą najtańszym sposobem niszczenia przestarzałego uzbrojenia. Mając głęboki szacunek dla starożytności, czyli korzeni europejskiej kultury, trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nawet sformułowanie „walka o pokój” jest nieporozumieniem. Otóż nie chodzi o pokój, którego wprowadzenie wiązało by się z przemocą, zabijaniem i gwałtem. Oczekiwana rolę esperanto, które miało jednoczyć ludzkość, pełni obecnie język angielski. Zarazem staje się on nośnikiem określonej kultury, która amerykańkuje nie tylko nasz kontynent. Takiego niebezpieczeństwa nie niósł ze sobą język esperanto.

Pierwsze stowarzyszenia i organizacje pacyfistyczne powstały w XIX wieku i ruch ten nasilił się w okresie I wojny światowej. Myśl o trwałym pokoju powróciła na bardzo krótko, bezpośrednio po II wojnie światowej. Wracając do czasów wcześniejszych, twórca języka esperanto dr Ludwik Zamenhof miał nadzieję, że język ten przyczyni się do porozumienia

narodów i wzrostu tendencji pokojowych. Jest inaczej. Nawet Pokojowa Nagroda Nobla wręczana jest tym, którzy prowadzą wojnę.

Nasza epoka pod wieloma względami nie dorasta do wartości głoszonych i kultywowanych w starożytności. Przypomnę, że twórcami idei powszechnego braterstwa była szkoła stoików, która głosiła konsekwentnie niezbywalność trwałego pokoju. Wówczas dostrzeżano sprzeczność między braterstwem a zgodą na zabijanie człowieka przez człowieka.

W XXI wieku brakuje należytego szacunku dla ludzi oraz dla zwierząt, roślin i przyrody nieożywionej. Wyrazem tego są wojny i katastrofalne w skutkach niszczenie środowiska naturalnego. Brakuje świadomości tego, że to, co zakłóca harmonię współistnienia prowadzi do chorób, wojen i grozi zagładą naszej planety. Filozof i lekarz, Julian Aleksandrowicz, wyrażał kilkadziesiąt lat temu głębokie zatroškowanie tym, że wiedza o niepokojących skutkach niszczenia świata przyrody nie hamuje tych działań. Należy podkreślić, że niszczenie odbywa się w majestacie prawa. Wiąże się to z wadliwą hierarchią wartości, która powszechnie funkcjonuje i jest sankcjonowana przez prawo.

Najwyższy już czas, by została powszechnie zrozumiana i wprowadzana w życie teoria jedności wszechrzeczy, czyli holizm. Nie ma wszak wątpliwości, że niszczenie środowiska w którym żyjemy przez rozwój cywilizacji – w tym prowadzenie wojen – wywołuje nowe choroby i przestępczość. **Niebezpieczeństwem jest uznawanie dóbr materialnych za cel istnienia.** Zachwiane na tej drodze zdrowie psychiczne – wywołuje zaburzenia somatyczne. Przenoszone bowiem z pokolenia na pokolenie porzekadło powinno brzmieć odwrotnie: w zdrowym duchu – zdrowe ciało.

Julian Aleksandrowicz wyrażał w swoich dziełach z zakresu filozofii medycyny zatroškowanie dysonansem między możliwościami człowieka w przekształcaniu przyrody, a dochodzącym faktycznie do głosu kolonizatorskim stosunkiem do niej.

Świadomość jednostek przepojona holizmem i pacyfizmem, nierozdzielnie sprzęgniętym z holizmem, miała poprzedzać procesy zjednoczeniowe w Europie. Miały się one rozpocząć od przebudowy świadomości Europejczyków; miała zostać oczyszczona z uprzedzeń i wrogości narosłej poprzez wieki. Oczekiwano po ostatniej wojnie światowej, że zostanie powszechnie uznana niepodważalna wartość człowieka, jego życie i zdrowie. Miały przed zjednoczeniem Europy zniknąć uprzedzenia rasowe, narodowe, religijne, polityczne. W tej atmosferze tolerancji, czyli **zgody na funkcjonowanie poglądów nawet dalece odległych od tych, które dany człowiek uznaje za prawdziwe i słuszne**, miała tworzyc się nowa Europa. Stało się inaczej.

Aprobata dla wolnego funkcjonowania różnorodnych światopoglądów oraz różnorodnych kultur jest zespolona w sposób konieczny z szacunkiem dla prawa stanowionego.

Maria Sajdakowska

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Co znaczy „Wir sind”

*Jak to na wojence ładnie kiedy ułan z konia spadnie
koleczy go nie zajął jeszcze końmi go trutują
śpij kolego w ciemnym grobie
niech się Polska przysni tobie
a za jego młode lata
na trąbce mu tra ta ta ta
a za jego trudy znoje
wystrzelą mu trzy naboje.*

– Raz, dwa, trzy! Raz dwa, trzy! Już jesteśmy tutaj my – oświadczyła piwnooka jak heban czarnowłosa Luna, prowadząc za rękę błękitnooką i złotowłosą Wiosnę.

– Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! – powtórzyła za Luną Wiosna, prowadząc za rękę filozofa Pana Nietwora.

– Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Już jesteśmy tutaj my – powtórzył za Wiosną filozof, prowadząc za rękę asystenta Daniela Spaniela.

– Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Już jesteśmy tutaj my, w *salonie mych myśli* przy okrągłym stole, a nie w więzieniu, a nie w koncentracyjnym obozie tylko w wolnej Polsce, dobry losie.

Ein, zwei, drei! Ein, zwei, drei! Dzisiaj Polska wolny kraj – wyrecytował srebrzystym tenorem Daniel Spaniel. Stanął na baczność i gestem ręki wykonał salut jak polski żołnierz.

– Witajcie, witajcie nasi drodzy goście – zawołał w *salonie mych myśli* głos zza pieca.

– Witajcie, witajcie nasi drodzy – powtórzyła za głosem zza pieca okienna framuga i dodała: witajcie nasi drodzy domownicy.

– Witajcie, witajcie nasi drodzy – powtórzył za okienną framugą złocisty kandelabr nad okrągłym stołem i dodał – witajcie nasi drodzy stołownicy przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Witajcie, witajcie nasi drodzy goście,

domownicy, stołownicy, witajcie. Powtarzam za moimi przedmówcami, a jako Autor *salony mych myśli* dodaję – witajcie drodzy Polacy, Europejczycy, obywatele świata. Witajcie, witajcie, witajcie w wolnej niepodległej Polsce, która dziś stanowi z europejskimi krajami rodzinę Unii Europejskiej ku chwale słońca wolności i kwitnącej demokracji we flakonach ludzkich praw i ogrodach ludzkich potrzeb, ludzkich pragnień.

Każdego roku w naszym życiu odbywają się karuzele różnych rocznic. Od czegoś się oddalamy i to nasza przeszłość. Do czegoś się przybliżamy i to nasza przyszłość.

– Historia kołem się toczy. Tak powiadają – powiedział złocisty kandelabr nad okrągłym stołem i się leciutko zatoczył.

– Nie masz racji złocisty kandelabrze. Każda historia ma własną niepowtarzalną twarz – zaprotestował głos zza pieca.

– Obaj macie rację, bo naprawdę nikt nie wie. Naprawdę nikt nie wie jak jest naprawdę – wtrąciła swą uwagę okienna framuga.

A naprawdę jest tak, że od czegoś się oddalamy, a do czegoś się przybliżamy. Wszystko notuje pamięć historycznej rzeczywistości. Właśnie pierwszego dnia miesiąca sierpnia roku 2017, uczciliśmy w całej Polsce 73. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego przeciwko hitlerowskiemu okupantowi Polski. Po 63. dniach trwania, powstanie upadło. Był 3. dzień października 1944 roku. Jak podają statystyki, aby żyć w warunkach ludzkiej wolności zginęło w powstaniu do 200 tysięcy ludności cywilnej, mieszkańców Warszawy, mężczyzn, kobiet i dzieci oraz około 20 tysięcy powstańców, członków Armii Krajowej. Oni wszyscy dla nas są święci. Cześć ich pamięci.

– Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie. Zaśpiewały wilki sarnie i połała się rzeka krwi.

– Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Już jesteśmy tutaj my – pomyśleliśmy wszyscy razem w *salonie mych myśli* przy okrągłym stole.

– Ein, zwei, drei. Ein, zwei, drei – wyrecytował srebrzystym tenorem Daniel Spaniel.

– Ein, zwei, drei. Ein, zwei, drei – zbliża się wrzesień, jesień, a nie maj. Zbliża się 78. rocznica wybuchu Drugiej Wojny Światowej. 1 września 1939 roku hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę i zaczął się czas ludobójstwa, a 17 września 1939 roku stalinowski Związek Sowiecki też napadł na Polskę i zaczął się czas ludobójstwa.

*– A gdy uśniemy, umrzemy
ptak nas przytuli do dzioba
mrówka nas weźmie do ręki
i znowu się zacznie ta sama droga
do zmyślnego Boga –*

stojąc na baczność przy okrągłym stole powiedział filozof Pan Nietwór.

– I znowu się zacznie ta sama droga, do naszego Pana Boga – stojąc na baczność przy okrągłym stole powiedziała piwnooka Luna.

– I znowu się zacznie ta sama droga, ażeby Polska nie miała wroga – stojąc na baczności w *salonie mych myśli* powiedziała okienna framuga.

PS. Co znaczy „Wir sind”

Jesteś od dawna w Polsce znana
mowo sąsiedzka – niemiecka

z pnia germańska
z religii chrześcijańska
z historii krzyżacka
okupacyjna
mowo niemiecka – zbójcka
represyjna

Jesteś od dawna w Polsce znana
mowo Emanuela Kanta
i Tomasza Manna
filozoficzna
metafizyczna
słodka jak winogrona
szorstka jak opona
którą mówili:
Hegel
Heine
i Adolf Hitler
którą tworzyli:
Goethe
Schiller
Gebles
i Himmler
Goethe jak getto
a getto jak Goethe
To ty wydałaś wielkiego poetę
który tak celnie Fausta kropnął
że twarz młodości i starości okno
wiecznie nam grają
operetę słodką i okropną
operetę przewrotną
To twój wielki walor

Twój wielki walor
chwalili więźniowie
hitlerowskich obozów zagłady
bo dzięki tobie
mówiąc trzy wyrazy:

– ich bin
– wir sind
– heute heiser Wind
unieśli głowy z rąk oprawców
którym do śmiechu było z tego
że „śmierć” przemawia
językiem Goethego
Mowo niemiecka
którą się mówi do dziecka
– du bist meine alle Welt
mein liebes Kind
du bist, du bist! –
Mowo
którą się pisze czuły list
do ukochanej Niemki
lub Niemca z Lubeki
i do każdego z nich
– ich liebe dich!
– ich liebe dich!
dalej po polsku
– na wieki
– Mein liebes Mädchen Gretchen
– Mój Ty Hansie złoty
umieram z miłości
usycham z tęsknoty
jeszcze nie umiem niemieckiego na tyle
muszę do słownika co chwilę
Przebaczając
przebaczyc
a jakże, przebaczymy
i prosimy o przebaczenie
a jakże
list polskich biskupów

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Radovan Brenkus, *Śnieżnie z bestią*. Tłumaczenie: Marta Pelinko. Redaktor wydania i korekta: Joanna Turczyn. Ilustracje i obraz: Janina Ataman. Projekt okładki: Grzegorz Koniusz. Wydawnictwo Abilion, Rzeszów 2016, s. 64.

Małgorzata Gajewska, *Podpalam żyrafę*. Opracowanie graficzne Grzegorz Górnikiewicz. Na okładce fragment obrazu Salvadora Dali *Płonąca żyrafa*. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Piotr Gajewski. Wydawnictwo KORONIS, Bydgoszcz 1017, s. 64.

Anna Kerył, *Z niebem, ze światem, z tobą. Wiersze (1980-2015)*. Opracowanie i wstęp: Witold Wołowski. Projekt okładki Agata Pieńkowska. Wydawnictwo Werset, Lublin 2016, s. 688 + CD.

Maria Kmiecik, *Zielony Koń*. Na okładce reprodukcja „pejzażu” Stanisława Komockiego. Oficyna Wydawnicza VARIA, Łódź 2016, s. 54.

Ryszard Krynicki, *Przekreślony początek*. *Dwadzieścia sześć wierszy z lat 1965-2010*. Na okładce Eugeniusz Get-Stankiewicz z cyklu *Rebusy*, 1983. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezja*, tom 91. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017. Wydanie drugie rozszerzone i poprawione, s. 40.

Irena Kaczmarczyk, *Zerwane z łąki*. Redakcja, projekt okładki, korekta: Irena Kaczmarczyk. Pprawa plastyczna (19 obrazów): Kazimierz Hamada. Posłowie: Zdzisław Antolski. Wydawca: Biblioteka Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, nr 11, Kraków 2017, s. 112.

Magdalena Kapuścińska, *W poszukiwaniu siebie*. Redakcja, adiustacja i posłowie: Jarosław Petrowicz. Oprawa graficzna: Agnieszka Owczarzak. Wydawnictwo Autorskie Magdalena Kapuścińska, Wieluń 2017, s. 52.

Benedykt Koziół, *W środku tajemnicy. Wiersze wybrane*. Wybór i przekład z języka polskiego: Łyczczar Seliaszki. Przygotowanie do druku: Irena Nyczaj, Paweł Nyczaj. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2016, s. 162.

Maciej Porzycki, *Zakres*. Okładka: Tomasz Porzycki. Konsultacja redakcyjna: Anna Schlegel. Korekta: Jerzy Porzycki. Wydawnictwo KONTEKST, Poznań 2016, s. 120.

Jolanta Stelmasiak, *To moje żaby*. Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Zdjęcie portretowe na okładce z archiwum Autorki. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2017, s. 92.

Jolanta Stelmasiak, *Słońca może dziś nie być*. Redakcja: Piotr Grobliński. Opracowanie graficzne: Justyna Purczyńska-Zieleniewska. Na okładce obraz profesora Mariana Kępińskiego „Noc”, 2004, gwasz – dzięki uprzejmości autora i Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi. Wydawca” Łódzki Dom Kultury, Łódź 2017, s. 48.

Tomasz Titkow, *Godzina złego*. Malarstwo: Hilma af Klint. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2015, s. 40.

Marcin Tomczak, *Weno wej!*. Projekt okładki i

opracowanie graficzne: Agnieszka Sowała-Kozłowska. Projekt typograficzny: Magda Ebert. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2016, s. 84.

Stanisław Zwierzyński, *Acanella. Tokayashi, współczesna poezja polska oparta na wzorach japońskich*. Tokayashi, nazwa i canon wiersza powołane przez autora. Wstęp: Andrzej Zaniewski. Fotografie pochodzą z prywatnej kolekcji autora. Wydawca: Stanisław Zwierzyński, Warszawa 2017, s. 136.

Małgorzata Żurecka, *Kos śpiewa lato*. Ilustracje: Katarzyna Żurecka. Projekt graficzny: Sylwia Tulik. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2016, s. 102.

PROZA

Giovanni Agnoloni, *Ścieżki nocy*. Przełożyli: Justyna Łukasiewicz, Marta Adamska, Katarzyna Antoniewicz, Zuzanna Gaczyńska, Krzysztof Wrona. Zdjęcie na okładce: Jadwiga Pułczyńska. Wydawnictwo Serenissima Katarzyna Antoniewicz, Wrocław 2016, s. 220.

Maciej Bieszczad, *Pogrzeby wróbla*. Fotografia na i stronie okładki: Jarosław Taran. W książce wykorzystano grafikę Weroniki F. Antonowskiej *Ptaszki*. Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 134. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2017, s. 48.

Jonathan Coe, *Numeru*. Przełożył: Marek Fedyszak. Projekt okładki: Tomasz Lec. Noir sur Blanc, Warszawa 2017, s. 416.

Heinrich Dyck, *Dziennik żuławski 1878*. Przełożyła: Małgorzata Rysicka. Grafika: Jerzy Domino. Zdjęcia archiwalne: Marek Opitz. Biblioteka Kwartalnika „Prowincja”. Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich TAKA GMINA, Sztum-Nowy Dwór Gdański 2015, s. 184.

Andrzej Grabowski, *Małe tajdactwa. Opowiadania i opowiadanie z kainy PRL-u*. Redakcja: Andrzej Żmuda. Opracowanie plastyczne: Artur Grabowski. Foto okładki: Archiwum Magazynu ISKRA. Wydawnictwo Autorskie AGAt i Wydawnictwo AD Oculos, Warszawa-Rzeszów 2016, s. 160.

Henryk Waniek, *Obcy w kraju urodzenia*. Projekt okładki: Michał Waniek. Canon Silesiae / Ślonsko Biblioteka, Kotórz Mały 2016, s. 344.

Aleksander Wenglasz, *Zdjęcie inaczej zabić*. Opracowanie graficzne: Artur Skowroński. Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2016, s. 336.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

A. Scott Berg, *Geniusz*. Przełożył: Jakub Jedliński. Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz. Wydawnictwo Czwarta Strona, Poznań 2017, s. 606.

Jerzy Borowczyk, *Po chwiejnym trapie. Szkice o poezji i prozie współczesnej*. Projekt okładki: Maciej Krobski. Projekt typograficzny: Marlena Roszkiewicz. Wydawnictwo „Poznańskie Studia Polonistyczne”, Poznań 2016, s. 256.

Jestem głosem waszego świata. Recenzje i szkice o twórczości Jarosława Zielińskiego. Redakcja: Mikołaj Juliusz Wachowicz. Okładka i opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2017, s. 190.

Ryszard Mćsisz, *Czytanie nieobojetne. Recenzje twórców Podkarpacia*. Projekt okładki: Marek Piśko. Nakład autorski, Jeżowe 2016, s. 140.

Andrzej Walter, *Czas zbierania kamieni*. Redakcja i korekta: zespół. Projekt okładki: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawnictwo Agencja ATM, Warszawa 2017, s. 210.

Andrzej K. Waśkiewicz, *O literaturze lubuskiej. Szkice, recenzje i inne teksty*. Projekt okładki: Alicja Błażyńska. Na okładce karykatura Andrzeja K. Waśkiewicza autorstwa Kłema Felchnerowskiego. Zdjęcie na IV stronie okładki: Czesław Łuniewicz. Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2016, s. 356.

Krzysztof Wodiczko. Socjoestetyka. Rozmawia: Adam Ostolski. Projekt okładki: Krzysztof Zdunkiewicz. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015, s. 352.

Szymon Wróbel, *Filozof i terytorium. Polityka idei w myśli Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczki, Krzysztofa, Pomiana Marka J. Siemka*. Projekt okładki Andrzej Łubniewski. Seria *Archiwum Warszawskiej Szkoły Historii Idei. Studia*. Wydawnictwo IFIS PAN, Warszawa 2016, s. 414.

DRAMAT

Max Frisch, *Dramaty zebrane*. Tom I. Redakcja i wstęp: Maciej Ganczar. Przełożyli: Maciej Ganczar, Ryszard Turczyn, Sława Lisiecka, Irena Dębek, Wiesława Czyżyńska, Andżelika Metelska, Karolina Piasecka, Anna Wojnarowska-Olek, Jacek Kaduczak. Projekt okładki: Aleksandra Ziemiańska. Agencja Dramatu i Teatru, Warszawa 2017, s. 430.

Max Frisch, *Dramaty zebrane*. Tom II. Redakcja: Maciej Ganczar. Posłowie: Monika Wąsik. Przełożyli: Maciej Ganczar, Ryszard Turczyn, Sława Lisiecka, Karolina Bikont, Jacek Kaduczak. Projekt okładki: Aleksandra Ziemiańska. Agencja Dramatu i Teatru, Warszawa 2017, s. 448.

Bolesław Leśmian, *Skrzypek opętany*. Odczytanie z rękopisu, opracowanie i posłowie: Dariusz Pachocki. Projekt okładki i stron tytułowych: Dorota Niedziałkowska. Seria *Archiwum Edytor-skie*, tom 6. Wydawnictwo KUL, Lublin 2016, s. 270.

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Co znaczy „Wir sind”

(Dokończenie ze strony 22)

o niemieckie rozgrzeszenie
list polskich biskupów
a skąd miliony trupów
aluzja do historycznych niesnasek
Pamięć – niepamięć
zasypuje piasek
woda woda przyroda
powódź pomoc
woda zgoda
pocałunek
konieczny warunek
przebaczać
przebaczyć
pamiętać
– to już koniec na dziś
twój Miś
a zodiak bliźnięta –
dwudziesty ósmy stycznia 1998 roku
albo raczej
inaczej tym razem
bez komory z gazem
i przy końcu:
Lublin w słońcu – Majdanek
kochający Cię Janek
– jeszcze tak dobrze nie znam języka
muszę co chwilę do słownika –
przebaczać
przebaczyć
prosić o przebaczenie
Ofiara przeprasza siępacza
i mu przebacza
piasek piasek
zapomnienie
woda woda przyroda
powódź pomoc
woda zgoda
pocałunek
konieczny warunek

– Kochany Hans
kiedy przyjedziesz z Monachium
ze swoją mamą
do nas
do Oświęcimia
na polską Wielkanoc
przedstawię Ci mego wspaniałego brata
kochająca Beata –

– Kochany Willi
w drugą niedzielę marca
wyjeżdżam z Wrocławia do Berlina
kocham Halina –

A z Berlina
– ich liebe dich Halina
Twój kochający Niemiec Willi –

Jacy jesteście mili!
znów te wyrazy

znanej wam frazy
– ich bin
– wir sind
– heute heiser Wind
– du wirst
– ich werde
Kupujesz znaczek
zaklejasz kopertę
wysyłasz list
– wir werden
– ich werde
– und du wirst

Epilog

Oto niektóre formy niemieckiego
czasownika sein – być
ich bin
du bist
wir sind
jestem, jesteś, jesteście
ich werde
du wirst
wir werden
będę, będziesz, będziecie

Radzimy korzystać
ze słowników
podręczników
historycznych dokumentów
radzimy czytać
uczyć się
i przeczytać Fausta
Coś o przejrzystych dłoniach
chwilowości
wir waren – byliśmy
tylko tyle – nic więcej
Wyjęto okno
przez czarną dziurę
wleciał wiatr
trzasnęły drzwi

Andrzej Bartyński

Opinie Noty Poglądy

„Zrealizowana z wielkim rozmachem „Dunkierka” jest jednocześnie podobna do rozpisanego na obrazy reportażu literackiego. Czasem skupia się na banalnym szczególe, a zaraz potem panoramuje sytuację z lotu ptaka – pisze Anita Piotrowska w „Tygodniku Powszechnym”, numer 33/2017.

Jean Baudrillard uznał ongiś film „Czas Apokalipsy” Francisa Coppoli za przedłużenie wietnamskiej wojny. Dostrzegł w nim ten sam kosztowny pokaz siły – tę samą reżyserką megalomanię i machinę efektów specjalnych, która była udziałem amerykańskiej armii. W ten sposób film z założenia antywojenny zamienił się, jego zdaniem, w apoteozę

wojny. Więcej: „wojna stała się filmem, film stał się wojną”. I nie trzeba być wielbicielem jego teorii symulaków, by traktować każde wysokonakładowe kino wojenne z podobną podejrzliwością. Zdarzają się jednak filmy próbujące uciec przed tą pułapką. Kiedyś ów stan niewinności próbował osiągnąć Terrence Malick w „Cienkiej czerwonej linii”, dziś mamy „Dunkierkę” Christophera Nolana. Twórca światów możliwych („Incepcja”, „Interstellar”) i niemożliwych („Mroczny rycerz”) nareszcie, acz nie do końca, zszedł na ziemię. Tym razem skupił się, choć też nie do końca, na twardych faktach historycznych. Efektem jest kino niewolne od grzechów głównych ekranowej batalistyki – czyli wojna jako widowisko, czyli film jako narzędzie ideologii i propagandy – ale zarazem poszukujące nowego wyrazu, by zapewnić nam wirtualne uczestnictwo w wojennych wydarzeniach”. (...)

W tygodniku „PlusMinus” (numer 32/2017) wywiad Jana Bończy-Szabłowskiego z Jerzym Satanowskim:

(...) – **Dziś każdy może sobie na własny koszt wydać tomik poezji, ale kiedyś taka możliwość, przy monopolu państwowych wydawnictw, praktycznie nie istniała. Poza tym wychodziły pisma literackie i miały swoją renomę.**

– To była kompletnie inna rzeczywistość, dziś nie do wyobrażenia. Mogłeś być poetą wśród kolegów, ale kiedy nagle „Twórczość” czy inne wydawnictwo publikowało twoje wiersze, jakaś gazeta drukowała cię na pierwszej stronie, to było coś. My mieliśmy aspiracje, a tu pojawił się człowiek, który zyskał sławę, wpływy i potrafił pociągnąć za sobą innych... Mało wiemy, jak wielu poetów zawdzięcza Edwardowi Stachurze swoje debiuty. W znanych sobie wydawnictwach umiał wymusić publikowanie autorów jeszcze nierozczytanych, nieodnalezionych, a w innych torował drogę swoim kolegom po piórze. Pomagał, i poświęcał temu dużo czasu, całkowicie bezinteresownie, również w czystej robocie redaktorskiej. Dzięki niemu wielu z ludzi piszących na serwetkach stawiało się „autorami drukowanymi”. Ryszard Milczewski-Bruno, Andrzej Babiński, wspomniany Witek Różański, któremu zredagował dwa tomy, to oczywiście nie cała lista poetów, którzy wiele mu zawdzięczają.

– Cała plejada?

– Tak... Niektórzy byli też świetnymi interlokutorami. I przeciwnikami filozoficznymi, bo często się z nimi ścierał. Przez wiele lat jego przyjaźnie falowały od wielkiej fascynacji do całkowitego skreślenia z listy przyjaciół. Co jakiś czas sporządzał taką listę, listę osób, które już nie są z jego świata”. (...)